

**NAUCZYCIELSKI KLUB LITERACKI
BIAŁYSTOK**



NAJPROŚCIEJ



ISSN 1898-228X

3-4 / 93-94 / 2011

PAMIĘCI EUGENIUSZA SZULBORSKIEGO.

- Wiersze: Mieczysław Wojtasik (str. 3). Joanna Dawidziuk (str. 4). Joanna Pisarska (str. 4). Edward Lipiński (str. 4). Dorota Łabanowska (str. 5).
- Edward Franciszek Cimek. *Wspomnienie o Eugeniuszu Szulborskim (1938-2011)*. (Str. 6-7).
Józefa Drozdowska. *Odszedł na zawsze do lepszej krainy istnienia Eugeniusz Szulborski z Białegostoku, poeta i przyjaciel wielu z nas*. (Str. 7-8).

- POEZJA.** • Z turniejów jednego wiersza: Apoloniusz Ciołkiewicz (str. 9). Grażyna Cylwik (str. 10). Joanna Dawidziuk (str. 10). Marek Dobrowolski (str. 10-11). Regina Kantarska-Koper (str. 11). Barbara Lachowicz (str. 12). Dorota Łabanowska (str. 13). Joanna Pisarska (str. 13). Bożena Siemieńczuk-Bartoszewicz (str. 14-15). Regina Świtoń (str. 15).
- Edward Lipiński (str. 16). Maria Jolanta Kowalska (str. 17). Zofia Wróblewska (str. 18). Regina Świtoń (str. 19-21).

PROZA. Józefa Drozdowska. *Fragment widoku za oknem*. (Str. 22-24). Barbara Lachowicz. *Ballada o dziadku, chacie i dębie...* [Opowiadanie]. (Str. 25-29). Krzysztof Kamiński. *Prześcieradła; Wielka ryba; Szkic; Flecista*. [Opowiadania]. (Str. 29-34).

SATYRA. Zdzisław Michał Kamiński. *Fraszki; Limeryki; Aforyzmy*. (Str. 35). Janusz Sipkowski. *Aforyzmy*. (Str. 36-39). Kazimierz Słomiński. *Fraszki (2010-2011)*. (Str. 39-44).

SZKICE, WSPOMNIENIA. Wiesław Sienkiewicz. *Język mojego dzieciństwa (do 1947 r.)*. (Str. 45-51). Aleksandra Fidziańska. *Janeczka*. [Wspomnienie o Janinie Nożownik]. (Str. 52-53).

RECENZJE. Kazimierz Słomiński. *Tak daleko i blisko*. Rec.: Joanna Dawidziuk. *Tak daleko i blisko*. Białystok 2011. (Str. 53-54). Regina Kantarska-Koper. *Dojrzewanie do światła*. Posłowie w: Anna Sołbut. *Akordy snu*. Białystok 2011. (Str. 55-57).

NOTKI. Oprac. K. S. (Str. 57-62). **KSIĄŻKI.** Oprac. K. S. (Str. 62-63).

SATYRA. Apoloniusz Ciołkiewicz. *A to Polska właśnie!* [Wiersz satyr.]. (Str. 64).

Autorzy tekstów zamieszczonych w 3-4/93-94/2011 nr „Najprościej” w układzie alfabetycznym:
Edward Franciszek Cimek (Izbyca), **Apoloniusz Ciołkiewicz** (Grajewo), **Grażyna Cylwik** (Białystok), **Joanna Dawidziuk** (Białystok), **Marek Dobrowolski** (Białystok),
Józefa Drozdowska (Augustów), **Aleksandra Fidziańska** (Piotrków Trybunalski),
Krzysztof Kamiński (Niemcy), **Zdzisław Michał Kamiński** (Warszawa),
Regina Kantarska-Koper (Białystok), **Maria Jolanta Kowalska** (Bydgoszcz),
Barbara Lachowicz (Białystok), **Edward Lipiński** (Hajnówka), **Dorota Łabanowska** (Białystok),
Joanna Pisarska (Białystok), **Bożena Siemieńczuk-Bartoszewicz** (Białystok),
Wiesław Sienkiewicz (Rybnik), **Janusz Sipkowski** (Łuków), **Kazimierz Słomiński** (Białystok),
Regina Świtoń (Knyszyn), **Mieczysław Wojtasik** (Bydgoszcz),
Zofia Wróblewska (Knyszewice).

Wybór tekstów, opracowanie i przygotowanie do druku: **KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI**.
Wydawca: **Nauczycielski Klub Literacki przy Zarządzie Okręgu Podlaskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Białymstoku (15-004, Białystok, ul. Sienkiewicza 46)**.
Druk: **światłokopia ZO ZNP**. Nakład 130 egz. Honorariów nie płacimy.

Grafika na str. 1: **Joanna Malcer** (Gdańsk).

**PAMIĘCI
EUGENIUSZA SZULBORSKIEGO**

Mieczysław Wojtasik

Tropem Prawdziwego Człowieka

Eugeniuszowi Szulborskiemu

Szedłem za Tobą drogą
oślepiając dla niektórych jasną
w kurczących się jak pamięć
butach po dziadku z drobinami
czarnej kujawskiej ziemi pod stopą
I nagle zniknąłeś jak ptak w niebieskim lustrze
Skręciłeś do domu wspólnego nam Ojca
a ja zostałem jak kamień przydrożny nie poruszony
zdziwiony jękiem zranionego wiatru
i pustką jak „szakalem
czyszczącym pustynię” gorących myśli
Aż wreszcie znalazłem tę białą-czerwoną kokardkę
którą rzuciłeś ku chylącym głowy
i zginającym kolana
przed majestatem ojczyzny – ojcowizny
Wiem Przyjacielu któredy iść nie zboczę
przysiędę się do Ciebie na błękitnej ławie
i pogawędzimy jak dawniej do syta
zakrapiając stróżujące w szczelinach słów świetliki
coraz to fraszką aforyzmem domowej roboty

Mieczysław Wojtasik

Joanna Dawidziuk

* * *

Eugeniuszowi Szulborskiemu

I był świt
gdy Anioł spakował walizki

pozostał tylko
uśpiony motyl

daleki
bliski
najbliższy

Białystok 19.IX.2011

Joanna Dawidziuk

Joanna Pisarska

Pamiętać

Eugeniuszowi Szulborskiemu

krople czasu
jak się przesyca i wyzwała
jak płynie w nas i wokół
zagarnia wciąż nowe godziny

pejzaż rzeczy i zdarzeń
jak się otwiera kartka po kartce
nieuchwytny aż do bólu

człowieka
jak spieszy by zdążyć ku światłu
coraz silniejszy i coraz słabszy

17.10.2011

Joanna Pisarska

Edward Lipiński

* * *

Eugeniuszowi Szulborskiemu

odszedłeś
zostawiłeś serce

bije w Twoich myślach

delikatne i czułe
przepełnione troską
i niepokojem

dotykane sarkazmem
i kpina

targane bólem

Wiara Ojczyzna Człowiek
kamienie milowe

trwałe fundamenty
pomnika Twojej pamięci

Edward Lipiński

Dorota Łabanowska

muszę to powiedzieć...

Eugeniuszowi Szulborskiemu

miłość wieczna nieskończona
była twoim
nieśmiertelnym pragnieniem

mała iskierka zmieniła ją
w pożar poezji

teraz słowo zapisane
czytam
serce bólem smutnieje
tak to jest jądro – sens życia i śmierć

znałeś źródło bólu –
podłość czynu
odslaniając pysznych i egoizm

honor – oznaczał wytrwać w prawdzie
wypłoszyć niesprawiedliwość
dopóki o chleb wołają głodni

mówiłeś o tym
podobnym sobie
z prostotą i czułością

za trud co trwa w zмовie z niebem
dla ciebie wieniec z róż i uśmiech
wszystko mija i łyż przeminą

zatrzymaj miejsce przy stole

19 września 2011

blaskiem wschodzącej ciszy...

Eugeniuszowi Szulborskiemu

syn do drzwi zapukał –
ze smutną wieścią
smuga bólu zdziwione dotknęła oczy

jakby wszystko wymarło

zgasły blaski cisza coraz trudniejsza
w cień własny wtopiona przelewa się
i tłoczy w wiązkę pożegnań

w tej zawierusze zamilkły muz zaloty
ty zaufaj bezmiarom
błogosław mu Boże

o ty któryś uwiązał w uścisku nocy
wybacz – błędów nie licz
gdzie lira tam miłością iskrzy serce poety

poezją powstaniesz
blaskiem wschodzącej ciszy
wielu przed słowem twoim przystanie...

20 września 2011

aby czynić dobro...

Eugeniuszowi Szulborskiemu

Kupido darując ci łuk nie wątpił
że był to bardzo dobry wybór
napinałeś go skrycie
zawsze w obliczu samotności i nocy

choćbym chciała do dna i głębiej
wyśpiewać zachwyty i sens poezji
rąbka tajemnicy nie dotknę
to pieśń twoich snów – marzeń i cieni
niepowtarzalnej myśli

echo z dna duszy zwykle nieuchwytnie
stało się błękitem i w nim zasnęło
fala pieśnią pożegnań w dal je uniosła
usta zapadły w milczenie
ziemia przytuliła ciało

za tobą mury pokonanych przeciwności
przed tobą czas
który jaśniej smugą prawdy

kiedy z oddali patrzysz na mnie
uświadamiam sobie
to spojrzenie żywe ciepłem i pokorą

w ucho szeptane szczerością twojej poezji

25 września 2011

Dorota Łabanowska

WSPOMNIENIE O EUGENIUSZU SZULBORSKIM
(1938-2011)

Był schyłek pogodnego lata, gdy w białostockim szpitalu we wrześniową niedzielę nad ranem Eugeniusz odszedł do wieczności. Jeszcze w sierpniu przysłał mi swój ostatni list, a wiele ich od mego Przyjaciela otrzymałem. Z nadzieją wtedy pisał: *Za oknem świeci dziś słońce, więc trzeba się nim cieszyć. Jeszcze raz życzę wytrwałości na codzienne zmagania (...) i trzymajmy się w dobrej kondycji. Z Bogiem.*

Na jednej z półek mojej domowej biblioteczki widnieją w kolorowych okładkach nadesłane mi przez Eugeniusza książki. Opublikował ich czterdzieści cztery. Jestem w posiadaniu znakomitej części tych liczących się tytułów. Zwykle każdy tom opatrywał życzliwą dedykacją. Stąd dla mnie ich szczególna, bo pamiątkowa, trwała wartość.

Godna podziwu była pracowitość Poety. Dość powiedzieć, że pozostawiona przezeń twórczość literacka to cenna spuścizna wielu pracowitych lat, poszukiwań i dokonań piśmienniczych. Równocześnie jako nauczyciel z przygotowaniem uniwersyteckim z pasją uczył białostocką młodzież historii.

Moja koleżeńska znajomość z Eugeniuszem, a następnie spolegliwa z nim przyjaźń coraz bardziej pogłębiała się od początku lat osiemdziesiątych. Spotkaliśmy się po raz pierwszy na wczasach literackich w Gdańsku, zorganizowanych przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Zamieszkaliśmy w internacie jednego z tamtejszych liceów opodal Starówki nad Motławą. W pokoju mieliśmy świetne lokum, a łączyło nas wierszopisarstwo i pochodzenie z tak zwanej Ściany Wschodniej. Ileż ciekawych, budujących rozmów toczyliśmy wówczas na literackich spotkaniach bądź w wąskim kręgu wczasowiczów, a często tylko obaj. Eugeniusz zaskakiwał pomysłami.

Chodziliśmy portowym bulwarem rozprawiając o przeszłości Gdańska. Eugeniusz barwnie, zajmująco opowiadał. Westerplatte, Pomnik Obrońców Poczty Gdańskiej, Pomnik Poległych Stoczniovców, kościół św. Brygidy, Bazylika Mariacka, Długi Targ były szczególnie dla nas ważne.

Pewnego dnia weszliśmy do kościoła stojącego opodal naszej wakacyjnej kwatery. Eugeniusz był w nim wcześniej. Wprowadził mnie do bocznej kaplicy i w sakralnej scenerii wskazał obraz Matki Bożej Stanisławowskiej, przywieziony po wojnie przez repatriantów z Podola. Rozmawiając ze mną o dziejach tej Ikony, podziwiał wiarę i szczerzy patriotyzm polskich kresowiaków.

Pod koniec panującego w Polsce stanu wojennego Zarząd Główny naszego Związku przeniósł nauczycielskie wczasy twórcze do Krakowa. Tam także w internackim pokoju zamieszkałem z Eugeniuszem. I choć ograniczenia swobód przez władze uciążliwie doskwierały, skutecznie radziliśmy sobie jako nauczyciele literaci. Podczas rekreacyjnych przechadzek po krakowskich Błoniach, wzajemnie sobie ufając, snuliśmy przewidywania na przyszłość. Eugeniusz zadziwiał śmiałością przypuszczeń i jasnością swych roztropnych wobec życia poglądów.

Wczesnym majowym rankiem podążyłem z białostockiego dworca kolejowego do siedziby Zarządu Okręgu ZNP na ulicy Warszawskiej. Tam miano ogłosić werdykt jury ogólnopolskiego konkursu poetyckiego „O Buławę Hetmańską”. Eugeniusz był jego inicjatorem. I oto zastałem go w związkowym lokum. Samotnie przygotowywał zszywkę biuletynu informacyjnego tegoż konkursu. Rozłożone kartki i towarzysząca imprezie wystawa prac malarskich nauczycieli stanowiły scenerię, w której uwijał się jej animator. Zanim dotarli na biesiadę inni jej uczestnicy, niezwłocznie zaprosił i mnie do pomocy. Podziwiałem jego zaangażowanie w to ciekawe, artystyczne przedsięwzięcie.

Niezapomniane chwile przeżyłem u przyjaciół w Białymstoku. Przed dwudziestu trzema laty Eugeniusz jako prezes tamtejszego Nauczycielskiego Klubu Literackiego po raz pierwszy poprzez Związek zaprosił na pokłonie konkursu i dwudniowe spotkania literackie nauczycieli

piszących z kraju. Trzykrotnie dostąpiłem zaszczytu uczestnictwa w tej świetnie pomyślanej i owocnej imprezie. Zwykle towarzyszyły jej znakomite prezentacje laureatów tudzież innych goszczących nań poetów.

A nazajutrz jechano na Podlasie. Eugeniusz troskliwie przewodził tym arcyciekawym wyprawom. Odwiedziwszy kowala-artystę, wykonawcę złotej, srebrnej i brązowej buławy przyznawanej w konkursie, zwiedziliśmy Tykocin. Miasteczko hetmańskie, historycznie ciekawe. Zabytkowe kościoły i okazała synagoga, bogate zbiory w muzeum i ślady królewskiego zamku na dolinie Narwi.

Następnym razem powieziono uczestników imprezy na „tatarski szlak”. Tam meczet w Bohonikach pełen zieleni, złota i bieli wewnątrz. Wersety Koranu wokół. Potem meczet i mizar w Kruszynianach. Ciekawostek moc. Nazajutrz do Supraśla. Miasto pełne historii. W dali rozlewisko rzeki Supraśli i Puszcza Knyszyńska. Ognisko w plenerze. Eugeniusz świetnie imprezę przygotował.

Bawiąc w Białymstoku po raz trzeci w gronie nauczycieli literatów odwiedziliśmy grób tamtejszego poety Wiesława Kazaneckiego. A potem symboliczny grób błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki w Suchowoli. W Sokółce zwiedziliśmy tamtejsze muzeum i kolorową cerkiew. W Janowie podziwialiśmy piękne rękodzieła ludowej tkaczki-artystki.

Ileż starań i zapobiegliwości poświęcał organizacji tych imprez nieustrudzony Eugeniusz. Z podziwem i wdzięcznością przeżywaliśmy z Nim chwile ciekawe, cenne i miłe na gościnnej podlaskiej ziemi. Wszak talent, wspaniałomyślność i zaradność uczyniły Eugeniusza niezapomnianym Człowiekiem.

Edward Franciszek Cimek

Józefa Drozdowska

**ODSZEDŁ NA ZAWSZE DO LEPSZEJ KRAINY ISTNIENIA
EUGENIUSZ SZULBORSKI Z BIAŁEGOSTOKU,
POETA I PRZYJACIEL WIELU Z NAS**

Poeta, prozaik, satyryk, animator życia literackiego w Białymstoku, historyk i nauczyciel, kolega i przyjaciel wielu z nas zmarł nad ranem w niedzielę 18 września 2011 roku w białostockim szpitalu.

Urodził się 12 sierpnia 1938 roku w Zalesiu Nowym na ziemi łomżyńskiej. Ukończył historię na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Pracował jako nauczyciel zawodu i historii w białostockich szkołach, był metodykiem historii w Kuratorium Oświaty, a od 1992 roku adiunktem muzealnym w Galerii im. Sleńdzińskich w Białymstoku. Przed wszystkim jednak był pisarzem.

Debiutował w 1966 roku w lubelskiej „Kamenie”. Był laureatem wielu konkursów literackich. Publikował w wielu czasopismach, antologiach i almanachach, ostatnio w: „Księżde aforystyki polskiej XXI wieku. Potęga myśli” (Katowice 2002); „Fraszki polskie” (Kęty 2002); „Epea 4. Almanach” (Białystok 2004); „Księga aforyzmów” (Warszawa 2005); „Z fraszką przez stulecia (XV-XX wiek). Antologia” (Kęty 2005); „Epea 8. Almanach” (Białystok 2009); „Z Księgi Ezechiela. Antologia” (Białystok 2009); „Podlaha Antologio” (Hejme – Libro-Mondo 2009); „Na skrzydłach słów. Antologia NKL w Białymstoku” (Białystok 2009); „Podlascy twórcy dzieciom” (Białystok 2009); „Wy jesteście świadkami tego”. Antologia” (Białystok 2009); „Antologia Podlaska” (Białystok 2010); „Czarowny świat wierszy. Antologia” (Białystok 2011).

Jest autorem ponad czterdziestu książek poetyckich, a także szkiców o mecenacie kulturalnym rodów Branickich i Sleńdzińskich. Poza tym autorem opracowań, redakcji i przygotowań do druku licznych publikacji, szkiców historycznych m. in. w „Białostocczyźnie”, „Bibliotekarzu Podlaskim”, w wileńskim „Czasie”. Swoje recenzje, felietony, wiersze, fraszki, aforyzmy publikował m. in. w „Gazecie Kulturalnej”, „Literackim Głosie Nauczycielskim”, „Akancie”, „Najprościej”, „Ananke”. W 2011 roku w Krakowie ukazał się wybór jego wierszy pt. „Zmienna pogoda”.

Współorganizował życie młodoliterackie na Białostocczyźnie, był przewodniczącym Białostockiego Oddziału Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, przez wiele lat był prezesem Nauczycielskiego Klubu Literackiego przy ZO ZNP w Białymstoku, był również pierwszym redaktorem kwartalnika literackiego „Najprościej” i kwartalnika Galerii im. Sleńdzińskich „Ananke”.

Należał do Związku Literatów Polskich, od listopada 2010 roku pełnił funkcję prezesa Oddziału ZLP w Białymstoku. Był inicjatorem powstania i redaktorem Biuletynu Oddziału ZLP w Białymstoku „Huśtawka”.

Zaprzyjaźniony był z literatami augustowskimi, w tym szczególnie z Anatolem Baturą. Cenił twórczość literacką Anatola Batury. Przygotował do druku i wydał w NKL jego książki: „Powroty” (1988, 1997) i „Korzenie” (1993) Uczestniczył w spotkaniach literackich z tutejszymi czytelnikami. W kwietniu 1992 roku był gościem spotkań literackich w Bibliotece Pedagogicznej w Augustowie i w Zespole Szkół Zawodowych, zaś 2 października 2003 roku Czwartku literackiego w Miejskim Domu Kultury.

Był redaktorem mojego drugiego tomiku poetyckiego „Miejsce zamieszkania”, który ukazał się nakładem NKL w Białymstoku w 1992 roku, w 1995 roku, wspólnie z Eugeniuszem Szulborskim opracowaliśmy i wydaliśmy wiersze młodej, zmarłej w 1943 roku, poetki wileńskiej Marii Rakowskiej. Rok temu w serii „Kajety Starobojarskie” ukazał się nasz wspólny tomik poetycki zawierający wiersze Eugeniusza, Reginy Świtoń i moje pod jednym tytułem „Wyjaśniając siebie”. Ostatni raz miałam przyjemność widzieć i rozmawiać z Eugeniuszem w ostatnią niedzielę sierpnia br. na corocznych spotkaniach Nauczycielskiego Klubu Literackiego, organizowanych w wiejskiej posiadłości Leonardy Szubzdy w Rozedrance Starej, i takiego pogodnego, uśmiechniętego, przyjacielskiego chęć pozostawić w swojej pamięci na zawsze.

J ó z e f a D r o z d o w s k a

Tekst przygotowany dla „Przeglądu Augustowskiego”, opublikowany w numerze 10 (201) w październiku 2011 r. na str. 16 – pod tytułem „Odchodzą na zawsze do Lepszej Krainy”.

Z TURNIEJÓW JEDNEGO WIERSZA

Apoloniusz Ciołkiewicz

CZYSTA 10

Wychyla się z mroku
obmywa w świetle przypomnienia
mój ojciec znał ją na pamięć

Nazwa i numer
pogrążone w mroku sowieckiej okupacji
i w błysku rozpacz
gdy po powrocie do domu
zabrakło najbliższych

dlatego potem portret bestii
spadł ze ściany gimnazjum

Czysta 10
osamotniona
bez mieszkańców
jak ojciec bez zębów
wytraconych z zaciśniętych szczęk
rozpięty między jaskrawością
złej lampy a mrokiem
kojącej celi

sny były czyste i jasne
jak znicz zapalany na grobie
bez światłocienia

W RYTMIE ULATUJĄCYCH LAT

*Jakże piękna jesteś, przyjaciółko moja,
Jakże piękna!*

Oczy twe jak przebłysk nieba
pogodnego po wielu burzach
włosy Twe jak biały
welon który bezpowrotnie
odpłynął z rzeką czasu
dłonie Twe jak świadectwa wielu prac
pożytecznych
które się na nich odcisnęły zapamiętaniem
policzki jak malownicze doliny
wyłobione potokami łez
i Twój uśmiech na który
patrzę wciąż z zachwytem
bo odgarnia Ci z twarzy
wszystkie naloty lat i bólu

*Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja,
I nie ma w tobie skazy.*

ERZAC

Panie

Dziękuję Ci
że nie jestem jak inni ludzie
choćby jak ten celnik

Poszczę w piątki
daję na tacę odmawiam litanie
spowiadam się

Panie
tak długo się modłę do Ciebie
że nie mam czasu
napoić spragnionego
nakarmić głodnego
przyodziać nagiego
pocieszyć strapionego

A poza tym
czy to ja jeden jestem na świecie?

Panie
Ty wcale mnie nie słuchasz...

Apoloniusz Ciołkiewicz

Grażyna Cylwik

MIŁOŚĆ

Gorąca fala muska moje ciało
Dreszcz tęsknoty wiruje jak wiatr
Wciąga w wir miłości
Jestem otwartą księgą
Usta szepczą wróżby
Gorące jak ogień ręce
Walczą ze sterami
Widzę miłość w twoich oczach
Zamykasz ją pocałunkiem
Płynę morzem zapomnienia
Jesteś jak deszcz ciepły
I przyjazny spragnionej naturze

MIĘDZY JAWĄ A SNEM

iskierka uczuć
błądzi w labiryncie myśli
szuka sensu każdego dnia
błyszczący gaśnie i znika skrycie
gubi się między snem a jawą
kropla nadziei gasi blask świtu
krok ciężki i niepewny
nie chcę myśli odbitej
od ściany złudzeń

MIĘDZY ŚWIATŁEM A CIENIEM

Otacza mnie płonący las
Pali się ognisko duszy
Wspomnienie z płomykiem uczuć
Gasi wiatr pamięci

Tylko echo powtarza
Szept modlitwy
Smutek kładzie się cieniem

Na las krzyży

Grażyna Cylwik

Joanna Dawidziuk

Z PIEŚNIĄ NAD PIEŚNIAMI

zasypiam
na zielonych łąkach
jestem przyjaciółką
każdej nowej wiosny
przychodzą sny
z tłem

* * *

była w tobie
wiara matki
uśmiech cierpienia
i taki mocny
dobry polski dzwonek
choć taki cichy...
wciąż budzi sumienia

Joanna Dawidziuk

Marek Dobrowolski

* * *

nad ranem
odwiedził mnie anioł w bieli
miał długie włosy
a oczy świeciły mu się z dziecięcą
niewinnością
myślałem że cupnie w rogu pod sufitem
a on podszedł
i położył się przy mnie
był jakiś inny
i pachniał

tak jak ona

PRZED LUSTREM

widzę przed sobą postać
samotną
choć miejsca mam na dwoje
on stoi sam
zamyślony
nie
raczej smutny
nawet na mnie nie patrzy
a właśnie obok

czeka
czekamy wspólnie
kiedy ona podejdzie
przytuli
przejrzy się
we mnie
i w nim

z drzwi starej szafy
widzę kolejną
lustrzaną
miłość

* * *

póki świecisz
czuję się mniej samotny

on jest wtedy przy mnie
dotrzymuje mi kroku
wysłucha do końca
przemilczy
nigdy też nie skarży się
na nierówne chodniki

póki świecisz
mój przyjaciel

cień

jest przy mnie

Marek Dobrowolski

Regina Kantarska-Koper

NOC I DZIEŃ

czas utknął w czterech ścianach
brzuchata ciemność szczelnie otuliła izbę
samotność rozsiadła się po kątach

śniące zmysły rozpierzchły się
po siedmiu światach
wykradając okruchy bożych planów
po drodze
demony dorzuciły swoje kamienie
poplątały drogowskazy

przebudzenie
zabiera ze sobą
zwiędłe sny
opadają na dzienne sprawy
otępiałą mgłą

zmęczona noc ociąga się
bezsilna wobec brzasku
uparte śnienie
zamazuje miedzę
między snem a jawą

noc strząsa krople zorzy
świt wdziera się pod powieki
jeszcze tylko resztki snu wypłukać kawą

dzień snuje się z kąta w kąt
nie ma się dokąd śpieszyć
dal odsuwa horyzont

bezcelowa jest pogoń za horyzontem
niebo ucieknie albo
przyjdzie samo

Regina Kantarska-Koper

Barbara Lachowicz

* * *

Uśmiech Giocondy
Moje usta

Kropla lata – wenecka mgła
Owiana krajobrazem
Podobna do tej
Znad naszej rzeki

*Zanim mnie wniosą do Luwru
Radością twoją jestem*

Czyżbyś dotąd radości nie zaznał

Pytasz
Jak marzenia nazwać słowami
Jak ze słów zbudować lotnię
Która poniesie z marzeń w doliny

Tam są jeszcze słowa bez znaczeń
Ukrył się raj

Nie odszukany jeszcze łąd
Pelen obietnic Graal

Ja cię rozumiem –
Leonardo

* * *

Lato – a życie nie ma wakacji
Dyszająca z gorącą zielenią – leniwa
Grusza kształtuje owoce o biodrach kobiety
Brzuszek z czarnym pępkiem
Neuronami korzeni drzewo mocuje się
w zieleni

Wysysa z niej ostatnie soki
Ocalona korona z brzemieniem owocu
I cień – myśli przez chwilę żywią się cieniem
Pomykają pomiędzy listowiem
– ku jesieni
Jesienie aż nazbyt znane
– zieleni ostatnie tchnienie

Niechciane
Obok – poci się jarzębina czerwonymi
koralikami

A cierpliwość dojrzeła razem z nimi –
Do piękna
Myślałam że śnię

* * *

Pomiędzy światłem a cieniem
Iskierki niepewności

Lęk i miłość kręcą się w parze
Piszą się
W powietrzu księgi historii

Świt i zmierzch
Po obu stronach światła
A oczy na wpół ślepe i na wpół widzące

I uśmiech nie dość jasny
Aby dopaść serca
A ono na pół taktu chybotze się w piersi

Miłości scherzo ulotne
Zdławione w szorstkim geście
Złość pod półuśmiechem
Do skrzywionego szczęścia

Pomiędzy prawdą a fałszem
Opuszczone powieki
I chociaż własnych stóp nie widzę
Przez łzy
Jeszcze nie umarłam i jeszcze żyję

Zamiast ludzi cienie

I tylko kwiaty pachną barwnie
Liryka bardziej przejrzysta

Cisza jeszcze cichsza

Listopad 2011 r.

Barbara Lachowicz

Dorota Łabanowska

UNIEŚ MNIE W SEN...

głowa z bólu zeszywniała
dreszcz okrzył ciało
przede mną aleja lip
dłuży się jak mroczny tunel

skąd te odgłosy huraganu
do ucha szemrzą
samotność to przekleństwo
a niemoc niszczy kapitał

to jawa nie sen

myślę – kolejna próba
za moje ja i sprzeciw mój
oczy niemoc wypłaczą
i znikną krwawe cienie krzyża

ja pójdę

przez most który omijałam
(nie wierzyłam że go przejdę)
teraz wpasuję się w jego kształt
ponad huragan wyblakłych barw...

i dojdę...

Październik 2011

Dorota Łabanowska

Joanna Pisarska

PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

tamta twarz zaskakuje tajemnicą

z każdym snem
coraz bardziej nieznajoma

otwieram i zamykam oczy
próbuję ukryć się w niej

pokonać lęk

* * *

będziemy umierać z dala od zgiełku
znajdziemy takie miejsce
w którym zamkniemy się jak w łupinie

jedno miejsce które starczy za cały świat

napełnimy je sobą
podzielimy dni przesiejemy światło
zachłyśniemy się ciszą

będziemy umierać pośród wymarzonych ścian
ty i ja wreszcie razem

* * *

romantyczny ślub w czyimś śnie
ty i ja wśród barwnego tłumu
przykucamy nagle ku sobie
chroniąc nasz mały świat

wokół cicho jak w płatku śniegu
zwolnione kadry niemego kina
zbliżenie na twarze na dłonie

na pytanie w drzeniu rzęs

czy przyjdiesz po mnie z cudzego snu

BEZ ROZLICZENIA

ciemność gęstnieje wbrew obietnicom
przez wieki sączy się ból

powoli zamieniam się w starca
rozgoryczonego swoją nieruchomością
i losem świata

tylko pamięć istnienia
powierzonego za darmo
niesie mnie jeszcze przez chwilę

kiedy przekraczam przedsionki Pańskie
wiedziona szeptem na wodzie

by skrajem życia dotknąć światła

* * *

Między gwiazdą polarną
a krawędzią stołu
między domem a filiżanką
jest miejsce...

między mrokiem a brzaskiem
między myślą a uspokojeniem
jest miejsce...

między słowikiem a klatką
między niebytem a dotykiem

między jawą a snem

jest miejsce...
...dla nas

DO PANA BOGA NA WESOŁO

Czy to tylko przypadek, czy to plan misterny?
Może wielka pomyłka albo błąd niezmierny?
Tyle pytań mi dano, żadnej odpowiedzi.
Przeogromna wątpliwość w mojej głowie siedzi
i z dnia na dzień mnie bardziej zmusza do myślenia.
Czy to jest wegetacja czy też sens istnienia?
I czego bym nie wniosła do mego żywota,
czy Ty wszystkim sterujesz, czy moja ochota?
Czego bym nie zrobiła, pytam siebie stale,
czy z Twojego zamiaru, czy nie ma Cię wcale?
Czy na moje pytania odpowiesz mi w niebie?
Bo jeśli mnie stworzyłeś, należę do Ciebie.
Więc zrób ze mną co zechcesz, o nic Cię nie proszę,
skoro z Twego kaprysu moje życie noszę.
Bo kaprys to być musiał, dowcip pierwszej wody,
żeś mi rozumu nie dał, ni nawet urody.
Ale jeśli to prawda, co mówią o Tobie,
że na swe podobieństwo tworzysz ludzi sobie,
nie mam o to pretensji, żem taka niezdara.
Żem już dawno nie młoda, a jeszcze nie stara.
Dziękuję za dar jeden, co wszystko przysłania,
za natrętą ciekawość, co rodzi pytania.
Więc na koniec Ci zadam pytanie sposobne:
Czy poczucie humoru też mamy podobne?

* * *

Czekałaś na mnie
nie wiedząc kim będę

Z miłością gotową na wszystko
nieskończoną jak wszechświat

Czekałaś na mnie
z talerzem zupy
z zacerowaną skarpetką

Czekałaś na mnie
z niepokojem
gdy upajałam się
pierwszym zakochaniem

Czekałaś
na moje powroty z podróży bliskich
i dalekich

Wracałam do Twoich rozpostartych ramion
znajomych i bezpiecznych

Zawsze do Ciebie wrócę

Nawet
gdy zamknie się za Tobą ziemia

Bo wiem
że będziesz tam na mnie czekać

Mamo

**Bożena
Siemieńczuk-Bartoszewicz**

Regina Świtoń

* * *

na orbicie marzeń
łan ciszy
unoszę się w beztroskość
zachwytu

biały żagiel w oddali

to wiatrem czasu
wyrwana młodość
płynie do mnie spokojną falą

znów jestem różą

czy zjawi się księżę któremu
*wystarcza do szczęścia
patrzenie na gwiazdy?*

*widzieć tylko sercem
zaczynać od nowa...*

jak dobrze
między jawą a snem
kołysać się na hamaku
wyobraźni

Regina Świtoń

Prezentowane powyżej wiersze zgłaszane były na turniej jednego wiersza na spotkaniach Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Tematyka turniejów:
20.02.2011 – Po drugiej stronie lustra;
20.03.2011 – W klimacie „Pieśni nad Pieśniami”;
18.04.2011 – Między Stwórcą a mną;
15.05.2011 – Matka, mama, mamusia;
16.10.2011 – Między jawą a snem;
20.11.2011 – Między światłem a cieniem.

Edward Lipiński

Na Kasprovym Wierchu

halny rozwiewa moje myśli
zdarł czapkę z głowy i toczy po grani
pogwizduje przy tym szelma drwiąco

zbieram myśli
oszołomiony jego potęgą i wspaniałością

depczę grzbiet i pnę się coraz wyżej
by sięść mu na karku

to mój rewanż za złośliwe powitanie

spływające w dół bezdenne przepaście
wywołują zachwyt i grozę
intrygują nieznanym
kuszą odcieniami szarości i zieleni

skaliste zbocza wypiętrzone wokół
potrzaskane młotem czasu
z uporem pną się ku niebu

łagodniejsze zielone stoki
o różnorodnych odcieniach
zapraszają do zejścia w dół

obok sznura ludzkich mrówek
wędrujących krętym szlakiem
rozbiegany wzrok wypatrzył
lśniące lustro wody
łowiące lazur nieba w migotliwą toń

strzeliste drzewa zadzierają głowy ku słońcu
pragną światła i ciepła

natarczywa refleksja pojawia się nagle
kim jest człowiek
mikroskopijnym ziarenkiem skalnym
czy pogromcą
zakładającym wędzidła dumnej górze

Morskie Oko

zatonione u podnóża górskich szczytów
zapatrzone w rzeźbienie nieba przez Rysy
zasłuchane w modlitwy Mnicha
usiłuje wyczuć tętno ziemi

zanurzone przy brzegu kamienie i skały
strzegą dostępu do tajemnicy ukrytej
w otchłani

tylko halny niespokojny i hardy
zamiata odkryte przestrzenie
i gnę karki świerków
uczy pokory wobec gór

a niecierpliwy Rybi Potok
wrywa się z Morskiego Oka
zmierza do morza
i niesie pozdrowienia od górskich szczytów

* * *

kiedy Mnich modli się żarliwie
halny potulnieje i wpada w zadumę
przysiada na grzbiecie Wielkiego
i szepcze pacierze

Morskie Oko przykrywa toń powieką lustra
i liczy pstrągi śmigające w głębi

Rysy zaskoczone spokojem
patrzą w dół i rysują Morskie Oko z lotu
ptaka

cisza przytulona do stoków zapada
w drzemkę

spadające w dół odłamki skalne
zatrzymują się w pół drogi
i tulą do drzew i pagórków na stokach

zdezorientowany świstak wyszedł z ukrycia
i rozgląda się ciekawie
co za świat taki spokój
i jak tu świstać

Edward Lipiński

Maria Jolanta Kowalska

NURZEC

Lustrzany nurt poranka
zawisł ciszą
nad łodzią

żółcienie
uśmiechem wabią
samotnego nenufara

wiotkość przybrzeżnych krzewów
kołysz marzenia

fale nucą melodie

WTULENI

Płynę z tobą
na skrzydłach pegaza

jest między nami
taka czułość...

na skraju obłoku
przysiadł wers
i tyle obiecuje...

czy w tej symfonii dotyku
wypełnimy swoje ścieżki?

w pozłocie
księżycy i gwiazd
noc tajemnic
zapewnia raj

POKORA JESIENNEJ CHRYSZANTEMY

Pokorą jesiennej chryzantemy
oddycha moja mama

jej ciche
czasu patyną pokryte ręce
szepc niezdamnych słów
zlepiają w krzywe linie listu
którego nigdy nie kończy

opleciona lękami
– choć wychowała płomienie
nakleja znaczek na słowach:
Kiedy przyjedziesz?

oczy wypatrują Stwórcy
gdy noc z lodem w sercu
wdziera się
w macierzyńską miękkość

gardło ściska samolubny czas

WIGILIA Z PRZYJACIELEM

Dzielił się opłatkiem –
z psem
i... samotnością

zwierzę
przy pustym talerzu
wysłuchało skarg
i polizało swego pana

samotność wtuliła głowę w ramiona

nad stajenką
anieli śpiewali
„Gloria”

Maria Jolanta Kowalska

Pocztówka

Na kuchennym stole pocztówka z Guadalupy.
Drobinka pamięci kogoś o kimś z dwóch końców świata.
Kolorowe ponczo krzyczy wesołymi, żywymi kolorami,
jakby chciało zakrzyczeć szarość betonowego placu.

Starsza kobieta. Może to tylko trudny los
wpisał dodatkowe lata zmarszczkami na spracowanych rękach
i srebrem na jej pochylonej głowie.

Schylona kobieta wtulona w kolorowe pasy
swojego ubrania jak w niespełnione marzenia o lepszym życiu.
Przymierza pierścionek – jeden z wielu uśmiechających się
do niej z płaskiego pudełka.

Ta zwyczajna, zmęczona kobieta na chwilę zapomniała
o swojej codzienności wkładając na swoją zniszczoną
czasem i ciężką pracą dłoń pierścionek
i na sekundę może dwie była inną kobietą w innym świecie.

A ja odbyłam długą podróż bez wychodzenia z domu.
Jedynie patrząc na pocztówkę i uruchamiając moją
wyobraźnię jak silnik samochodu.

Knyszewicze – 18.02.2010 r. – po południu

Zapach nocy

Zapachniała mi noc skórką świeżo pieczonego chleba
i książką kupioną rano w księgarni.

Zapachniała mi noc ciepłym powietrzem –
wspomnieniem upalnego dnia.

Zapachniała mi noc herbatą zieloną o smaku limonki
i marzeniem o ludziach, których nie spotkam, bo ich już nie ma.

Knyszewicze – 23.05.2011 (noc godz. 00:45).

ŹRÓDEŁKO SZCZĘŚCIA

Jest w Knyszynie leśna, cichutka kraina,
gdzie puszczyków hukanie słycać już o zmroku.
Tam, przy źródelku o kryształowych wodach,
spotykają się wszystkie cztery pory roku.

Wiosna w pościeli białych anemonów,
nocą tajemnych opowieści słyca.
Traktem pędzi kareta, rżąc srokate konie...
Czyżby zbliżał się cień nieznanego ducha?

Młodzieniec, na rękach ciemnowłosa dziewczyna?
– Co też poczniesz z dziewicą niezwykłej urody?
Pochylony nad wstęgą wartkiego strumyka,
do ust jej podaje łyk źródlanej wody.

– Już wiem! – To Barbara i król Zygmunt August,
zakochani w sobie i znowu szczęśliwi.
On wierzył, że woda z cudownego źródelka
jego wielką miłość na nowo ożywi.

Tę historię powtarza wartki strumyczek.
– Przyjdź, posłuchaj, kiedy słońce zachodzi!
Zaczerpnij łyk z pasmem purpurowych promieni.
Podobno każdego odmłodzi.

PRZYGODA W KARCZMIE

Któż z nas, w majową noc zaplątany,
nie był słodkim zapachem bzów upojony?
Zdziczały krzew chwieje się liliową poźłą
przy trakcie, u podnóża Góry Królowej Bony.

Kiedy zboczysz z gościńca w prawą stronę lasu,
zwabiony jego urodą podejdziesz tam blisko,
doleci cię rzenie cisawych rumaków.
Złudzenie to, a może nadzwyczajne zjawisko?

Tu, przed wiekami, obok Wielkiego Stawu,
karczma przygarniała podróżnych w ramiona.
Ogień na kominku jaskrawo płonął,
biesiadowała ludność trunków spragniona.

Przy kieliszku diabeł, w cudzoziemskiej szacie,
zjawił się pewnej nocy... Niespodziewanie!
Miał długi, czarny surdut, skórzaną czapkę...
Upodobał szlachcica. – Witam cię, mospanie?

Nos zakrzywiony, bydlęce kopyta,
takiego monstrum nikt dotąd nie oglądał.
Bies uprzejmie podał krogulcze pazury
i tylko... biednej duszyczki zażądał.

Nagle trzask, szum, huk – koń strzelił z kopyta!
– Nie unosź mnie, nie galopuj! W imię Ojca, Syna!
Gdzie jestem? Szlachcic na kępie, jak żaba?
Sam pośrodku stawu? Tam w domu rodzina...

A cóż to? Czarny rycerz na czarnym koniu?
Zerwał się wicher, zabręczczała kiesa.
Czarne chmury ptactwa z wrzaskiem przenikliwym,
w górę echo unosi szyderczy śmiech biesa!

Umknął, modlitwą chłopa wystraszony.
Dziś w miejscu tym rzą koniki nocami.
Ludzie, znający historię tego miejsca,
idąc czy jadąc, żegnają się przed złymi mocami.

DUCH PRADZIADKA

Pogubiły się gwiazdy w jesiennych zasłonach,
tajemniczo i pusto na knyszyńskim dworze.
Jak chór duchów płaczących jęczą topole.
Zatroskany poeta rozmyśla, spać nie może.

Tęsknota za piękną hrabiną sen odbiera,
a zakochane serce serenadę śpiewa.
Lecz cóż to za widmo ciągnie w mgielnych oparach?
To duch pradziadka Czapskiego na konarze drzewa.

Czyżby to ten okrutnik, warchoł, uwodziciel?
Niezwykły temperament przejawiał za młodu.
Kochał cudze żony, urodziwe wielce,
zakazane owoce z cudzego ogrodu.

Zbliżył się dawny starosta. – Cóż tym razem powie?
Czy znowu skarci, pełen wyrzutów i złości?
– Mój Zygmsiu, zarzuć swoją pasję i głupie pisanie,
używaj życia, nie rezygnuj z miłości!

Nagle wielka jasność przecięła krąg nieba.
Jeszcze do dziś nocą grzmi echo gromu tamtego,
co przeszył boleśnie serce dębu przy dworze
i przeleciał na wylot przez widmo Czapskiego.

Stare drzewa już nie jęczą jak dawniej.
Czasem słychać skrzypienie, gdy wiatr je kołysze.
Okoliczni mówią: – To tylko odgłos pióra.

Zygmunt Krasiński do Delfiny Potockiej
miłosne listy pisze.

NIEZWYKŁY ŚWIĄTEK

Kiedy z rączką wciśniętą w dłoń babciną
wchodziłam w Białostocką przez zielone łąny,
błogosławił nam dobry znajomy Jan Nepomucen,
świętek drewniany.

Siermiężną na sobie miał szatę, stał w głębi
lipowej niszy. Modliłam się przed kapliczką,
wierząc, że głos mój usłyszy.

Pamiętam, spękane miał lica, bo przetrwał
okrutne wojny. A jednak spoglądał z dobrocią
taki szczęśliwy, spokojny.

Dzisiaj, po latach, znów powróciłam
w te strony. Spotykam świętego Jana.
Czas minął, On niezmienny.
Pozdrawiam Go tak jak dawniej i szepczę
dziękczynne pacierze za szczęście, że mieszkam
w Knyszynie. On wiernie ulicy strzeże.

SYMPATYCZNA RZECZKA

Moja sąsiadka Jaskranka, sympatyczna rzeczka,
w tatarakach ukrywa swoje modre oczy.
Wąziutka knyszyńska wstążeczka
między chustami łąk wody toczy.
Pamięta chwile dawnych spotkań.
Wciąż wartka, choć czas odmienił jej urodę.

Przed laty przychodzono tutaj zażywać kąpieli
w rozgrzanych słońcem wielkich rozlewiskach.
Gorącą nocą odbijały się w wodzie
rozkrzyczane tańcami cygańskie ogniska.
Niosły się echem liryczne pieśni,
najpiękniejsze akordy cygańskiej kapeli.
I rozbrzmiewało dźwięczne tamburyno.
Nad tobą, rzeczko, Knyszyn się weselił.

Dziś nie biegnę do ciebie znanymi ścieżkami,
czuję, jak twoje serce tęsknotą oddycha.
Ukryta w gęstym bukicie chwastów,
pozostałaś, sąsiadko, samotna i cicha.

Regina Świtoń

Wiersze z przygotowywanego tomiku Reginy Świtoń *Zabłąkane echo* (na motywach legend knyszyńskich).

FRAGMENT WIDOKU ZA OKNEM

Przez pewien czas zmuszona byłam oglądać świat przez okno. Z jednostajnego, zdaje się, krajobrazu można również wysnuć opowieść. Monotonna dla wielu, dla mnie, siedzącej z powodu choroby w domu, ma ona wiele barw i swoją szczególną akcję. Snuję ją, przyglądając się światu z okien mojego mieszkania, położonego na trzecim piętrze bloku. A oto jej fragmenty:

Poniedziałek rano:

Jesion, którego pień wyrasta z za płotu, a raczej z za siatki sąsiadów, poczuł wreszcie wiosnę. Obleciały w większości stare noski, a suche grudki z opadającymi w dół włosami zdają się być coraz rzadsze. Zielone ich pręty z brązowymi malutkimi pesteczkami na końcach pną się ku górze powiązane w miotełki. Z prawie każdego czuba takiej miotełki wyrastać zaczyna kokon ze zwiniętych, lepkich liści. Nie zakrywają mi jeszcze całego widoku. Między gałązkami przeziera brąz starzejącego się dachu domu sąsiadów, jego zielone mury i białe witryny okien werandy. Niebo nad drzewem i dachem jest błękitne, z pierzastymi chmurkami, gdzieś granatowoszarymi od spodu. Wraz z jesionem swą jasną zielenią coraz szczelniej odgradza mnie od sąsiedniego bloku lipa. Przypomniało mi się, jak kiedyś w dzieciństwie zjadaliśmy świeże lipowe liście, podobnie zresztą jak serca wyciągane z wnętrza kalmusu (tataraku). I jeszcze inne rzeczy przypominam, ale nie o tym tutaj piszę.

Dalej czerwienieje dach byłego seminarium nauczycielskiego (obecnego liceum), a białoczerwona flaga, pogoniana przez wiatr, podąża do powoli płynących, jakby stały w miejscu, chmur. W rogu przyszkolnego skwerku zakwitła na biało karagana. I widzę jeszcze inne lipy, i brzozy spuszczone aż do ziemi swoje gałązki ciemniejsze nieco od lip. Nigdy bardziej nie przypominają mi one dziewczęcych włosów, jak wczesną wiosną. Tylko grochodrzewy, zwane u nas akacjami, jeszcze całe w brązach i szarych czerniach. W ogródku sąsiadów, porozrzucane tu i ówdzie jakby od niechcienia, lśnią w trawie złote główki mleczy. Przy zielonym garażu stoi duża donica z filodendronem, który wypuścił parę liliowych kwiatków ku słońcu. A wracając do mojego jesionu, jego pień i konary – to różne tonacje szarości. W spękaniach są koloru białopopielatego. Tu i ówdzie pokryte żółtymi i zielonymi plamami mchów. W znamionach po obciętych lub wyrwanym niegdyś konarze – brązowe. Jak wyczarować z zaokienego krajobrazu raj? Bardzo bym tego chciała. Pogoda słoneczna, ale chłodna. Widzianym z okna skrawkiem chodnika chodzą ludzie, ale jak o nich pisać, kiedy mnie oni na ten czas nie interesują.

Sąsiedzi mają wreszcie zamkniętą bramę. Często jest otwarta. Nie lubię, w odróżnieniu od okien, otwartych bram i bramek od podwórka. Odnoszę wrażenie, że ucieka wówczas nimi wszelka tajemnica i nie daje się jej później za nic zatrzymać w domu.

Tego samego dnia po południu:

Chłopczyk sąsiadów biegnie z czerwonym wiaderkiem na głowie. Listonosz w niebieskim uniformie roznosi listy. Z przepastnej czarnej torby wybiera te, które za chwilę zostawi w najbliższym domu.

Chmury połączyły się. Tworzą prawie jednolity pułap nad szosą, domem i drzewami. Nie widać ani krzty błękitu. Tylko ociążała popielatą biel i różnej tonacji granaty. Najprawdopodobniej zacznie padać deszcz. Chodnikiem przeszła stara, barwnie ubrana Cyganka, prowadząc za rączkę dziewczynkę z ogromną bladoniebieską kokardą, upiętą z tyłu czarnej główki.

Wtorek po południu:

Mój, nie mój jesion za oknem troszeczkę zieleńszy, chociaż ma jeszcze w sobie lekką pozłotę żółci. U sąsiadów znów otwarta brama od podwórka. Tuż przy chodniku, obok zielonych plastikowych koszy na śmieci, rozkwitła bladym różem na cieniutkim niby nitka pniewiśnia piłkowana, zwana japońską. Z wysokości mojego okna trudno rozróżnić jej kwiatuszki, ale

najwidoczniej są malutkie. Plamki bladego różu na tle brązowych prętów ogrodzenia i szarego asfaltu to cud. Maturzyści chodzą już ubrani w galowe czarno-białe stroje. Przed chwilą cała ich grupa opuściła plac szkolny i nagle posmutniało. Ptaków jak na lekarstwo. Nie o tej porze dnia szukać ich tutaj. Czasem przeleci kawka, czasem nakrapiany szpak ze zdobycznym robakiem w dziobie. Lubię szpaki. Lubię wszystkie skrzydlate istoty na świecie. Także anioły, ale tylko te białe. Czarnych się lękam.

Rozjaśniło się. Zauważyłam wśród gałązek jakiegoś owada, ale trudno z dala go zidentyfikować. Nad oknem szaroniebieskie niebo i trzy jaskółki na tle welonu z białych chmurek. A może to trzy jerzyki. Tak, raczej jerzyki niż jaskółki. Są od tych pierwszych większe i bez białych brzuszków. Stronami, jak chciałby tego stary poeta, kłębiaste białe chmury, granatowiejące po bokach.

W nocy padał deszcz. Rzęsisty, ulewny. Leżąc w łóżku czułam jego zapach. Czuję go jeszcze teraz. Muchy czy osy, a może jedne i drugie, zawzięcie latają między gałązkami jesionu. Słońce nagle rozlśniło się na całe niebo. Brzozy w szkolnym ogrodzie rozwiały na całą długość swoje włosy. Takie złote fruną na tle podpływającej z boku granatowej plamy z chmur. Do szkoły poszła Małgosia. Poznają ją po drobnej sylwetce i takowych drobnych i szybkich krokach. Za chwilę wraca z powrotem. Zapewne do samochodu zaparkowanego w zatoczce przed sklepem. Słońce z powrotem rozblysło. Niebo traci swą szarość. Lazurowieje. Tylko kłębiasta chmura po lewej – groźna, jakby miała zamiar przechylić się i spaść pod oknem. Och, jakże kiedyś, w dzieciństwie, bałam się takich chmur. Myślałam, że za chwilę spadną i zatopią mnie swoją wodą. Ileż straciłam widoków, bojąc się im przyglądać. Przeleciała kawka czarna jak smoła. Lekki wiaterek porusza jesionowymi listkami. Leciutko zaczynają się kołysać. Lecz stare ich włosy, jeszcze pozostające wśród zieleni, ani drgną. Za szosą siwiutki grochodrzewy stoją jak zamarłe. Czekam na chwilę, gdy zazielenią się i zakwitną. Czekam na długie kiście ich białych kwiatów. Ze szkolnego parku przyleciała wrona. Na chwilę tylko. I znów poleciała gdzieś za mój dom. Tam, gdzie już nic nie dostrzegam. Zrobiło się chłodniej nieco. Gałązki drzew jakby szybciej się poruszają. I grochodrzew też się rusza. Pustą na ten moment połą nieba nachodzą kłębiaste chmury. A tuż obok stoi lipa w soczystej zieleni. Gęstej zieleni. Oświetlona z boku słońcem, raduje się i potrząsa listkami prawie już dojrzałej wielkości. I znów przypominam ich słodką lepkość z dzieciństwa. Jakbym tamta ja stała wciąż jeszcze gdzieś za rogiem domu.

Środa po południu:

Dzisiaj jest bardzo ciepło. Niebo niebieskie z białymi, lekkimi chmurkami niczym cukrowa wata. Ni stąd ni zowąd wdarła się w to miejsce kłębiasta chmura, zakłócając tę sielskość. Gałązki jesionu kiwają się w tę i w tę stronę. Szare nosy jakby mniej widać na coraz bujniejszej zieleni. Za drogą kołyszą się akacje, a brzozy swoje warkocze rzucają przed siebie, schylając się przy tym głęboko ku dołowi. U sąsiadów wreszcie zamknięta brama. Flagą przy szkole wciąż tarmosi wiatr. Jeszcze powietrze nie jest nasycone gorącem. Jeszcze nie drży jak gałązki drzew. Jeszcze za krótko trwa ciepło.

Czwartek po południu:

Przeszła burza. Nie tak straszna, jak potrafią być straszne burze, ale jednak burza. Świat za oknem zrobił się nagle mokry. Jesion opuścił listki ku dołowi. Jeszcze im daleko do dorosłej długości, ale z każdym dniem wydłużają się nieco. Na wgłębieniu w chodniku stoi woda. Jezdnia mokra i chodnik całutki mokry. Przeszła ruda maturzystka w czarnej sukience i czerwonej kurtce. Małeńki owad mignął między mokrymi liśćmi. Niebo szare. Od lewa przejaśnia się, od prawej strony ciemnieje. Brzozy przechylają się dostojnie, to w jedną, to w drugą stronę, jakby przestępowały z nogi na nogę. Nie wiem, czy można już prasować, czy nie nawróci burza? Zaczyna padać deszcz. Jakaś pani pod parasolem przeszła do sklepu. Już słyhać bębnienie kropel po parapecie. Boję się burzy. Gdyby nie strach przed piorunami, może bym i ją lubiła. Może... Lubię za to deszcz, szczególnie wtedy, kiedy siedzę w domu i patrzę na niego przez okno. Przeszła dziewczyna w czarnych getrach i białej bluzie, skryta pod dużą granatową parasolką. Małe чудо! Krople deszczu spadają z kabla przeprowadzonego od bloku do domu sąsiadów. Uderzając w parapet oraz dach sąsiedzkiego garażu, roztrzaskują się na setki drobin, tworząc w jednej chwili

strugi i potoczki. Nim się połączą, widać każdą pojedynczą kroplę. Tańczą również na gałązce jesionu. Nadymają się i za chwilę spadają. Pod niektórymi z nich aż uginają się listki. Co jakiś czas taka duża kropla rozchlapuje się na parapecie. Wyraźnie słyhać wtedy jej głośny plask. Widzę, jak na dachu domu spieszą się jedna przed drugą. Daje to wrażenie, jakby ktoś niewidoczny pociągał za dójki chmur. Niebo zrobiło się jednolicie szare. Zasnuło mi całą dookólną przestrzeń.

Noc z niedzieli na poniedziałek:

Leżę w łóżku, więc nie widzę, co jest w tej chwili za oknem. Słyszę jednak, że pada deszcz. Z każdą chwilą wzmaga się. Z wielkim hałasem krople uderzają o parapet okna i blaszany dach garażu sąsiadów. Deszcz bębni i bębni rytmicznie. Na chwilę zanika i wtedy słyhać jednostajny głośny szum. Krople spadają miarowo, tylko od czasu do czasu któraś wyrywa się, uderzając głośniejsz od innych. I nagle cisza. Jak przed grzmotem. Cisza. Mam zamknięte okna, więc nie czuję zapachu deszczu. Leżę w łóżku. Kotka Matylda leżąc na mych piersiach mruczy w takt deszczu. Kaszlę. Zaczyna grzmieć.

Noc z wtorku na środę:

Chmury pędzą szybko, jakby zbudowane były z dymu. Lekkie jak wata. Podobne do wielbłądów, jedna za drugą. Tak mi się wydaje, chociaż nigdy na żywo nie widziałam biegnących wielbłądów. Przy dole ciemne. A czym wyżej, są jaśniejsze. Popielate i całkiem już jasne. Księżyc trochę już się podpał, ale jeszcze jest nieźle wykrojony. Bliżej mu do rogalika niż do buły. Chłodno. Drzewa zmoknięte. Taki oto widzę obrazek za szybą. Na podwórku od strony kuchni ogromne kałuże, a w nich kąpiący się księżyc. Słyhać wciąż szumiącą szosę za blokiem. Moje koty, Matylda i Maurycy, mimo później pory rozbrykały się na całego. Wcale im spanie nie w głowie. Ja zaś sama nie wiem, co robię w tym oknie. Noc to zarówno lśniąca w deszczu drzewa, szum szosy rozjeżdżanej przez tiry, koty w momencie łapania blasku księżycy na szybie, kałuże i srebrny sierp z nich wystający. Noc – to wzięte wszystko razem.

Środa po południu:

Szyby całe upstrzone są kroplami deszczu. Po burzy było przez jakiś czas bardzo słonecznie, a teraz znowu trochę pochmurniało. Niebo nade mną białobłękitne. Stronami zaś suną czarne chmury. Te białobłękitne jakby nieruchome. Sprawiają wrażenie niebieskich kędziarów popryskanych białą pianą. Nachodzi na nie szybko czarna dymna chmura w kształcie słonia z trąbą uniesioną ku górze. Dach w kropkach. Tak samo asfalt na szosie. Jesionowi bardzo już rozwinęły się liście. Mokre zwisają ku dołowi jak zepsute parasole. U sąsiadów znów otwarta brama. Drzewko wiśni japońskiej w chwilę przekwitło. Od strony lipy wszystko w mgnieniu oka granatowieje. W przyszkolnym parku kawka pracowicie coś wybiera ze ściętego pnia grochodrzewu. A jednak to ciemnopióry gołąb, a nie kawka. Zaczynają śpiewać chóry ptaków. Z północy nacierają na nie kłębiaste, ciemne chmury, ale nie pada jeszcze. Coraz mniej kropel deszczu na szybach. Coraz więcej widać przez nie światła.

Noc z niedzieli na poniedziałek:

Znów pada zimny deszcz, ale nie bębni w parapet. Na dachu garażu widać prześcigające się ze sobą krople. Co chwilę migają w plamie światła padającego z lampy stojącej przy ulicy. Deszcz nie bębni, tylko szumi. Coraz mocniej i mocniej. Jesion stoi z długimi już, przemokniętymi liśćmi, niczym z rękoma opuszczonymi w dół. Szumi jeszcze bardziej, zagłuszając tym samym nieprzyjemnie brzmiące przejazdy tirów. Staje się więc balsamem dla uszu, utrudzonych hukiem. Patrząc na uliczną lampę, ma się wrażenie, jakby spod niej na chodnik i jezdnię wytryskały długie i złośliwe strzygi. Czyżby czyjeś sprytnie ręce doiły gdzieś w przestrzeni ogromne wymię krowie. Nasuwa mi się myśl o powodzi. Brrrr. Pozimniało jeszcze bardziej. Nad drzewami widać ciemnogranatowe jednolite niebo. W świetle lamp drzewa zielone jak za dnia. Jesion, mój dorosły już jesion. Jak on sennie na mnie patrzy? Trzeba chociaż na chwilę zasnąć.

J ó z e f a D r o z d o w s k a

BALLADA O DZIADKU, CHACIE I DĘBIE...

Magda przyjrzała się kryształowej kulce, jakby chciała zobaczyć w niej coś szczególnego. Kulka miała kształt wielkiej kropli i była ze wszystkich stron oszlifowana w przylegające do siebie wielokąty, przypominające komórki pszczele. Osadzona w połączonym języku z pętelką, była częścią jej naszyjnika. Pięknie załamywała światło. Sprawiały to płaszczyzny misternego szlifu. Nic dziwnego, że ludzie często kojarzyli sztukę z magią. Dla Magdy była to fizyka, tyle że subtelna. Nieraz widziała na drzewie zamrożone krople wody podobnie załamujące światło jak ta, zrobiona ludzką ręką.

Co miało to wspólnego z dębem braci Janka i Stasia? Zwykły dąb wyglądał jak obraz obczepiony wotami z koralu. Miał w sobie coś ze świętości w swojej promieniującej mocy i w pięknej postawie. Jego korona żywiła się światłem. Była miastem dla wiejskich owadów, domem dla ptaków, osłoną dla podwórka, dawała cień przechodniom. W słoneczne wiosenne dni była pełna życia i pełna blasku, jakby i jej Bóg zesłał miarkę piękna, tę, którą odebrał Jerozolimie, a rozdał cedrom i dębom. Pewnie biedny Jaś nie miał pojęcia, że tak ktoś będzie patrzył na jego drzewo. A ono swą moc ciągnęło z ziemi, która wydawała się martwa w tej części podwórka, taka nijaka, pomiędzy rogiem podwórka, płotem, a brukowaną drogą przez wieś.

To niesamowite! Skąd biorą mi się takie myśli? Magda odsunęła od siebie kryształ. – Przecież nie jestem żadną wróżką i nie używam magii. Sięgnęła po książkę, którą wyjęła z teczki z laptopem i swoim zwyczajem przeczytała przypadkowe zdanie, które pierwsze wpadło jej w oczy. „Światło nad Jerozolimą było jakby z innego świata.” Tak, pomyślała, takie światło widzę tylko nad dębem, a wkoło piach, kurz, sucha trawa na miedzach, jak to zwykle po żniwach. Po zebraniu zboża wystawiona na słońce i wiatr. Prawie jak ziemia święta... Nic dziwnego, że wioskę nieopodal nazwano Palestyną.

Przecież nie będę pisać o dębem – mruknęła pod nosem – choćby to był najznamienitszy dąb na świecie. Kogo może obchodzić drzewo z podwórka dziadków? Wyjmując komputer, chciała się wyzbyc tej myśli, ale ona uparcie powracała.

Nie mając z kim gadać, słuchała wiatru w gałęziach: „Halo, halo! Dębem, rozczochrany nad chatami starymi. Jak ci płoteczki furczą w głowie. I jeszcze odgłosy wojny pomieszane z pieśnią”.

To tylko wyobraźnia. Przecież nic z tego już nie istnieje. Próbowała wyciszyć myśli, ale powracały: „Jak dobrze, żeś nie głuchy, jak ten, co cię zasadził, żeś nie kulawy, żeś krów nie pasał bosi! W kapocie mokrej nie drżał chłodny. Wiatr masz za sprzymierzeńca, a chłód za nic. I taką masz krótką pamięć bólu, kiedy przychodzą podciąć ci gałęzie...”

Przysiadła na drewnianym progu chaty i patrzyła przed siebie. Korona drzewa jest przesunięta w prawo... Gałęzie przycięto, aby nie zaważały o linię telefoniczną. A może podsłuchiwałaś, dębem? – żartowała w myślach.

Płot mocno pochylony trzymał się na podpórce. Trawa w cieniu dębu była wątła i pełno w niej było połamanych patyków opadłych z konarów. Nazbierała ich w obie garście, aby napalić w piecu.

Popchnęła spęczniałe od deszczu drzwi. Wewnątrz było trochę nowego i trochę „tradycji”. Na środku kuchni przedrzeźniał ją krzywo wybudowany komin z cegły. W pokoju stary kaflowy piec wydychał szparami część dymu, która nie zdołała się przepchać przez zrobiony pod powalą, także okaflowany, przewód kominowy, reszta wylaziła szparami w krzywym kominie i kłębiła się ponad dachem.

Na ścianach ostał się krzyżyk i obraz Madonny z Dzieciątkiem, które miały przypominać o świętości ludzkiego powołania.

Współczesność wspierał telewizor „Neptun”, pamiętający jeszcze czasy komunizmu i to, że był z przydziału. To w nim ostatni „starożytni” mieszkańcy oglądali skwapliwie „Modę na sukces”. Ze zgorzeniem wzdychali nad zepsuciem „Zachodu”, nie odrywając oczu od ekranu, z wypiekami na twarzy, śledzili dzieje amerykańskiej rodziny. Czuli się wtedy tacy katolicy, tacy porządni, lepsi!...

Z tego czasu pochodził wodomierz osadzony na rurze doprowadzającej wodę z wodociągu do łazienki, kuchni i pomieszczeń gospodarczych. Odkąd chata straciła starych gospodarzy, nikt nie kwapił się z naprawą urządzenia zepsutego przez mróz.

Magda ułożyła starannie patyki w piecu, obłożyła z góry grubszymi drwami i podpaliła, jakby to było ognisko. Ognisko domowe. Pamiętała, jak lubili patrzeć przez otwarte drzwiczki na płomień, kiedy bawił się z drewnem i zamieniał je w przyjemne ciepło.

Komputer okazywał się znakomitym towarzyszem. Można było opowiedzieć mu wszystko. Pisała trzymając go na kolanach, w cieniu dębu... Mobilny internet też lubił to miejsce i zachowywał łączność ze światem.

Przywołała z pamięci wspomnienie. Pewnego razu, kiedy Wiktoria leżała w ostatniej pościeli, przyjechał z miasta doktor, by sprawdzić przebieg leczenia. Kroplówka od kilku dni wisiała na gwoździu wbitym w belkę pod sufitem. Kilka litrów kroplówki przesączyło się w wątle ciało i wniosło nieco ożywienia w uśmiechu, a nawet zainteresowania losami „mody na sukces” i grzechami pięknej Brook...

Dziadek przyglądał się lekarzowi, gdy ten badał jego siostrę. „Ona nie umrze – myślał – i ja też nie umrę, bo kto będzie chaty pilnował?”

Doktor tymczasem zwrócił się do niego.

– A jak pan się czuje?

– Ja? – upewnił się. – Dobro, panie doktor, dobro! – odpowiedział, odczytując pytanie z ruchu warg. Nie będąc pewnym, czy doktor go dobrze zrozumiał, dodał ochoczo: – Jak by ja tak doktorowi dał w mordę, doktor pohledzielby, jaki ja silny! – i roześmiał się zadowolony.

– Och, ten folklor!...

Magda westchnęła, wspominając jak musiała mieć głupią minę. Uciekła wzrokiem w powalę przed spojrzaniem lekarza.

Zadzwoiła komórka.

Ciekawe, dlaczego w chacie nie było zasięgu? Można by było nie rozmawiać w środku wioski – pod dębem. Często szybko wybiegała na podwórko, aby nie zerwać połączenia.

– Dobry wieczór! – odezwał się głos w słuchawce. – Mam wolne dwa karnety na basen do Gołębiewskiego. Pójdiesz ze mną? Jutro sobota....

– Może byłoby lepiej, żebyś poszła z mężem? – przerwała Magda.

– Ja chcę, ale on nie chce ze mną. Pójdiesz? Będzie basen, sauna eukaliptusowa, grota solna...

– W takim razie pójdę. Zobaczymy się jutro. Tylko czepka nie mam...

– Nie szkodzi, wystarczy strój... Pójdziemy na borowiny, kąpiele ozonowe...

– Świetnie. Chętnie pójdę. Jeszcze nigdy tam nie byłam.

– W takim razie o szóstej, przyjadę po ciebie autem. Pa, pa.

To była złocista Kinia. Idealne wyobrażenie księżniczki z bajek. Mogłaby być moją córką – pomyślała – i w pewnym sensie nią była. Teraz i ona zapisała się w ciszy wieczoru, pod starym dębem.

Nie, nie był to stary dąb, miał dopiero około stu lat... W jego cieniu myślało się jakoś inaczej, jakby rozłożysta korona była anteną tej ziemi...

Magda miała kiedyś sen, który zapamiętała tak wyraźnie, jakby oglądała film albo najbardziej rzeczywiste fakty. Śniło jej się, że w nieznanym sobie sposób znalazła się wysoko nad podwórkiem. Na tyle wysoko, że widziała ciotkę Wiktoria i swoją chrestną matkę Zofię. Obok były trzy krowy czekające na wieczorne dojenie. Kobiety rozmawiały ze sobą, a Magda dziwiła się, że jej nie widzą. Spozrzęgała, że przebywa na platformie umocowanej do jakiegoś wielkiego pnia.

Zadarła głowę i oniemiała: jak mogła przez tyle lat nie widzieć, że na podwórku rośnie to potężne drzewo? Było tak wielkie, a nie dostrzegała go; teraz w górze widziała jego koronę, jak nikła w błękitnie nieba, gałęzie były ledwo widoczne, eteryczne jakby, a jednak wyraźne. One tam są! Och, jak to musi być wysoko! Przecież to niemożliwe, żebym widziała coś, czego nie ma!

Może moja dusza widziała? Wędruje gdzieś, gdy śpię...

Tego snu nie zapomniała nigdy. Był tak samo rzeczywisty, jak to, co przeżywała teraz na jawie.

To było Drzewo Życia – myślała patrząc na dąb, bo to on podsunął jej taką myśl. To pojęcie istniało w kulturach Indian. Przypomniała zasłyszana audycję radiową o dawnych kulturach. – No tak, zawsze miałam dziwne wyczucie, kiedy włączyć radio, telewizor, aby dowiedzieć się na temat tego, co mnie nurtuje. Czasem taką wiadomość przynosił jakiś człowiek. I to było zdumiewające.

Wróciła do komputera, który zdążył już przejść w stan uśpienia. Postanowiła dalej spisywać wspomnienia związane z tym miejscem. Dla niej nie były banalne.

Dlaczego to robię? Dla kogo? Dla ludzi „twardo chodzących po ziemi”, którzy swój styl uważają za idealny. Dla nich liczy się tylko dąb pocięty na kawałki i przeznaczony do kominka. Taki kaloryczny! Halo, halo, dębie! Jesteś kaloryczny!

Pisała więc dalej...

Na stole kuchennym stała jeszcze świeczka, ta sama, którą palili z dziadkiem tamtego ranka. Nie pali się świeczek z rana...

To był pierwszy poranek, kiedy zostali sami, bez Wiktorii.

– Proszę na śniadanie! – stanęła w progu do przykuchennej izby. Wujek Staś szedł do niej i płakał...

Staruszkowie nigdy nie powinni płakać. Płaczący staruszek był o wiele smutniejszy niż płaczące dziecko.

– Nie płacz! – powiedziała łagodnym głosem Magda, dostrzegłszy w starcu przerażone dziecko. Bał się samotności, albo czegoś jeszcze, co mogło być równie straszne jak samotność, albo śmierć. – Nie płacz! – powtórzyła. Teraz zjemy śniadanie, a potem zabiorę cię ze sobą. Nie będziesz chaty pilnował – dodała cicho. Zostaną razem: ona i dąb...

Sięgnęła po świeczkę wtopioną w szklany lichtarzyk.

– Zobacz! Pali się świeca, Wiktorii jest z nami!..

Bezzębna twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Śniadanie czekało. Tymczasem dziadkowi przyszło coś na myśl, co go zapewne od dawna trapiło, jakiś dziecinny strach.

– Boję się diabła! Piekło jest! – wymamrotał.

– Nie taki diabeł straszny! – wyrwało się jej z ust, bez sensu, bo dziadek nie żartował. Bał się naprawdę. Postanowiła uszanować ten jego lęk. Zrobiła gest, że nie będzie przerywać.

– Jest, doprawdy! Jest! Raz baba poszoł do księdza koniej pożyczyc. Ksiądz każe: Dobro! Koni na łący pasut sia. Idzi na pole i koni weź. Idzie baba na pole, a tam czort koźmi ore! Babu ohledzieł, jak dał w les, tylko czapku pokinuł!...

Teraz Magda pękała ze śmiechu. Dziadek popatrzył zdziwiony, wreszcie i on uśmiechnął się szerzej. Zaczynało się jakieś nowe życie...

Parę godzin później jechali autem do miasta. Ze względu na zawałone rzeczami tylne siedzenie Magda usadziła dziadka z przodu i przypięła pasami. Nie lubiła go wozić z przodu, bo dziadek pouczał ją, jak ma jechać. W dodatku drażkiem od zmiany biegów zawadzała o jego niezdarnie rozchylone kolana. Jechali! To była dla dziadka wielka przygoda. Zawsze była, teraz też. Był zadowolony, obserwował wszystko dokoła. Jechali po brukowej drodze, którą on jeździł już tyle razy wozem na żelaznych kołach, a potem „balonem”!

Tutejsze słowotwórstwo bywało zabawne. Ależ teraz też jedziemy wozem na dmuchanych kołach! – śmiała się w duchu, zerkając na wzruszenie Stasia.

Przyhamowała ostro. Był to ten sam zakręt, na którym o mało się nie zabiła. Zmęczona nocnym czuwaniem przy chorej Wiktorii, rano usiadła za kierownicę, aby pojechać do miasta i naprawić zepsuty silniczek od przednich wycieraczek. Chyba przysnęła, albo system nerwowy wyłączył się jakoś z braku energii. Spojrzała na licznik. Auto już wchodziło w pierwszy obrót na

pokrytym lodem bruku. Zdjęła pośpiesznie nogę z gazu, ale nie pomogło, nie pomogło też pulsacyjne hamowanie. – Żeby tylko nie dachować – jęknęła zerkając w oczy Jezusowi z obrazka, który włożyła kiedyś do klapki osłaniającej oczy przed słońcem.

Samochód wykonał obrót, jakby chciał zawrócić tam, skąd przyjechali i miękko wylądował w rowie wypełnionym śniegiem. Nie zdążyła jeszcze wysiąść, a już nadjechał inny wóz. Kierowca przybiegł i wypchnął wspomagane silnikiem auto z powrotem na jezdnię. Wiedziała, że ten wypadek uratował jej życie. Ocucił na tyle, że mogła dojechać do celu bezpiecznie. – Gdybym tak zjechała do głębokiego rowu przy szybkiej trasie, byłoby po mnie! Wiedziała, że to było szczęście.

Dziadek siedział pod balkonem i podciągnąwszy wysoko nogawki spodni, grzał w słońcu kolana. Odpędzał owady, które miały ochotę lądować na nagrzaną skórę. Próbował schwytać muchę. Nie słyszał skrzypienia świerszczy, które siarczyście darły ciszę.

Magda podeszła do furtki, na której wisiała pocztowa skrzynka.

– Co takiego majesz? – zapytał.

– Rachunek za internet! Za komputer!... – poprawiła się, bo Staś zupełnie nie pojmował tego słowa. Komputer był, przynajmniej z ekranu, podobny do telewizora. A telewizor wołał. Uśmiechnął się i dłońmi pokazał swoją bezradność. Było to stare drzewo, a starych drzew się nie nagina i nie przesadza... Zwłaszcza nie przesadza się ich ze wsi do miasta. A już zupełnie nie da się przenieść starych dębów... Dziadek wyraźnie tęsknił. Jakże chata i dąb obchodzą się teraz bez niego?

Magda zgadywała, o czym myślał.

– Znajesz, ja pamiętam, kiedy nasz Jasio go posadził...

Mówił, jakby wierzył, że Magda jest duchem świętym i zna jego myśli. Ale znała tylko gramatykę i wiedziała, że jej nie przestrzega z powodu swojej głuchoty.

– Oj, wtedy jeszcze pekaes przez wiosku nie chodził. Dawno było, dawno!... A w przeszłym roku, może jeszcze dawniej, Wiktoria jeszcze żyła, ja w skrynczku żołędzi nazbierał i zanos w les. Zrazu podumał rozkidać ich, a potem, że dziki ich mogut zjeść. Wziął tedy żelezo, dziurki w mokrej ziemi robił, głęboko chował, ziemiolj zasypywał... Widziel ich niedawno, rostut!...

– Rosną! Rosną! – chciała, żeby był dumny.

Młode dęby już rosły. Były i duże i małe. Zapomniał, że sadził je od paru lat. Tak pragnął coś po sobie zostawić.

– Chata to nic – staraja! Ona upadzie, a duby budut stojali w lesi. Oni pieręzyjut i mnie i ciebie. – Mówił to, jakby wiedział, że przyczynia się do wielkiego tworzenia świata, które rozumiał...

Z czasem coraz lepiej pojmował powstawanie nowych form życia, ale też ludzkie odchodzenie do wieczności. Wzdychał głęboko na wieść o czyjejs śmierci, a płakał, gdy umierało dziecko. Nawet nie lubił ścinania drzew, piłował tylko te, które uschły same.

Tej wiosny jego dąb patrzył, śpiąco jeszcze, jak pod nagimi konarami gromadzi się gromadka mieszkańców wioski. Przyszli pożegnać parobka i zarazem gospodarza tego podwórka, tego skrawka ziemi... Stąd wychodził, by siać zboża, pielęgnować pola i sadzić las. I był z tego dumny: „Wiktoria! Ale my bogatyje! Swoj las! Swoja jagoda! Swoje gryby!...” A Wiktoria pokładała się ze śmiechu: „Już jego zbrzydło słuchać, bo rozgadał się, jak nigdy dotąd” – mówiła. On nawet swoją pszczołkę poznał, jak przyleciała z pola i wiedział, że nasza – śmiała się. – Zobacz jak dychaje, daleko w lesi była...

Jednego plonu nie zebrał – lasu, który zasadził dawniej i tych dębczaków, które tam rosły. Chciał, aby żyły długo. Dłużej niż on.

Dziadek Stanisław stawał często za plecami Magdy i obserwował, jak powołuje do życia rzadki literki, pisząc na klawiaturze komputera. Jak wyświetla zdjęcia i zabawne obrazki, potem klika i wszystko znika z ekranu. Tak lekko. Jest i nie ma! I znowu jest! Krótkie bycia i niebycia. On rozumiał je tylko na swój znany sposób: po chłopsku i po dębowemu – „życie to życie, a śmierć to śmierć!” I zdawało mu się, że te literki też umierają.

Dużo ze sobą rozmawiali i Magda zapamiętała go jako opowiadacza, o tym, jak to dawniej było, jak ludzie żyli, jak pracowali, jaka wojna była i że bomba wpadła do chaty, a oni ją na płachcie wynieśli i zakopali w kurniku; jak partyzanci po lasach krążyli, jak to było, kiedy Rosjanie przyszli, a jak, kiedy Niemcy. I o tym, że gdzieś schował stary karabin na wypadek, gdyby nowa wojna była. I jeszcze o tej cynowej łyżce, co ją sam w piasku wytopił.

A teraz wiatr unosił biały kłębuszek dymu... Bratał się z drzewem, ginął w jego koronie.

Barbara Lachowicz

Krzysztof Kamiński

PRZEŚCIERADŁA

– Ty wiesz, że mnie nie jest lekko – powiedziała cichym głosem. Siedziała obok mnie na małej wyłysiałej kanapce. Miała dużą nadwagę, prawie trzydzieści kilo. Próbowwała schudnąć, ale bez rezultatu. Była po pięćdziesiątce, ale wyglądała o wiele starszej. Ciężka fizyczna praca bardzo ją zniszczyła. Nielezione z braku czasu i pieniędzy dolegliwości przekształciły się z czasem w poważne choroby. Cierpiała na permanentne bóle żołądka, dolegliwości sercowe oraz miała początki astmy. Razem z pogarszaniem się zdrowia pogarszała się również jej sytuacja finansowa. Mąż nie pracował od kilku lat, zżerała go coraz bardziej rozwijająca się choroba alkoholowa. Sama też nie miała stałego zajęcia. Zarabiała dorywczym sprzątaniami, pilnowaniem obcych dzieci i zakupami dla zniedołężniałych rencistów. Przychodziłem czasem do tego małego zagraconego mieszkania z jasnożółtymi tapetami i wiecznie niesprzątniętą sypialnią, piłem ciekawą herbatkę ziołową i słuchałem cierpliwie ostatnich nowości rodzinnych i sąsiedzkich.

– Więc to było tak – zaczęła. – Przed dwoma tygodniami zadzwonił do mnie Marek, no wiesz, brat mojego męża. On rzadko do nas dzwoni, jego żona sobie tego nie życzy, ona jest wielka pani, a nas ma za nic. Zobacz jak to jest, jak człowiek nie ma pieniędzy. Gdybyśmy mieli trochę grosza, to by na pewno z nami inaczej rozmawiała. No więc zadzwonił Marek i jak to on, opowiedział najpierw, co się u niego dzieje. Ja myślę, że on tam w domu z tą swoją to za bardzo nie rozmawia, bo gadał i gadał jak najęty, aż mu musiałam powiedzieć, że jestem umówiona na sprzątanie, wiesz, do tej starszej pani z tym małym kudłatym pieskiem. Ona mieszka tu niedaleko, jej mąż siedzi w wózku inwalidzkim. Raz na Boże Narodzenie zapłaciła mi dwa razy, a ja do niej mówię: – Pani Orzechowska, pani mnie już drugi raz płaci za to samo sprzątanie. A ona na to, że nic nie szkodzi, to są święta i to jest w porządku. Patrz, jaka to dobra kobieta.

Aha, dalej o tym Marku. No i Marek powiedział, że Ania, ta jego żona, robiła w domu porządki, no i znalazła w szafie prześcieradła. Może je kiedyś tam kupiła i zapomniała. Im się dobrze powodzi. Słyszałeś kiedyś coś takiego, żeby prześcieradła w szafie zapomnieć? Jezus Maria, mnie to by się coś takiego nigdy nie przytrafiło. No dobrze, no i pyta się Marek, czy ja bym tych prześcieradeł nie chciała. Dobrze, mówię, jak masz je wyrzucić, to lepiej je wezmę. Nam się nie przelewa. No to wyszło na to, że dostaniemy je za darmo. To jest duża okazja, bo pościel dzisiaj droga, a jak te prześcieradła tam w szafie zapakowane leżały, to były przecież jak nowe. A nawet jak by nie były, to wiesz, wrzucam do pralki, prasuję i są jak nowe.

Zapytałam się, kiedy mamy przyjechać, to nie chciał konkretnie powiedzieć. Wiesz, on z tą swoją zawsze wszystko ustala, a jak jej czegoś nie powie i sam coś zrobi, to ma potem w domu kłopot. Trochę dziwne to małżeństwo, że on się jej tak musi słuchać, ale jak im tak dobrze, to ich sprawa. Ich dzieci do nas nie przychodzą, a mogłyby zajrzeć, to bym chociaż upiekła ciasta. Ich syn Maciek to już duży chłopak. Widziałam go raz na ulicy, ale mnie nie poznał. Nic dziwnego, starej ciotki nie widział dawno, to i nie poznał.

Jeszcze herbatki? My tu mamy dużo herbaty. Lekarze mówią, że herbata jest zdrowa. Ja piję tylko pokrzywową na schudnięcie, ale jakoś nie pomaga. No poczekaj, to mówię do męża, zobacz jak nam się poszczęściło, twój brat da nam prześcieradła za darmo, ale wiesz, jego to nic nie

obchodzi, on by tylko siedział z koleżkami. Ja go rozumiem, on się w swoim życiu napracował. Cały tydzień cieszyłam się z tych prześcieradeł i czekałam na telefon, no i przed tygodniem zadzwonił znowu Marek i powiedział, że rozmawiał już ze swoją żoną. No to myślę sobie, sprawa załatwiona. Zaprosili nas na wieczór, to sobie pomyślałam, że pewnie na kolację. Ty wiesz, jak u nich jest. Tak do nich pójść nie można. Niby rodzina, ale oni są tacy z rezerwą. Jak raz na początku pojechałam, ot tak do nich, to powiedzieli, że zaraz wychodzą i nawet nie wpuścili do środka. Tak są jakoś dziwnie wychowani. Mnie to nie przeszkadza, każdy sam musi wiedzieć, ale czy nie byłoby czasem przyjemnie tak razem z rodziną posiedzieć, ty też mógłbyś przyjść z żoną, ale chyba nie, oni was nie lubią.

Dlaczego oni was nie lubią? Dziwne. No to w środę pojechaliśmy z mężem do nich po te prześcieradła. Ubrałam się ładnie, nawet tej jego żonie kupiliśmy małe kwiatki. To wypada, zawsze jest elegancko, jak gdzieś idziesz z wizytą i coś przyniesiesz, wtedy wszyscy się cieszą i fajnie jest. Oni mają dom na końcu miasta. Tam dojedziesz tylko metrem, a bilety też nie są takie tanie. Zobacz, od zeszłego roku znowu bilety podróżowały. No, oni tam mieszkają inaczej niż my. My tu z mężem mamy razem czterdzieści metrów kwadratowych i bardzo wysoki czynsz. Ostatnio nie włączamy nawet kaloryferów. Ostatni rachunek za ogrzewanie był bardzo wysoki. Mówię do męża, zakręć i włóż sweter. Ach, jemu to i tak jest wszystko jedno, on tylko śpi albo go nie ma. Co przyjdę z roboty, to leży, ale dobry jest człowiek, czasem nawet obiad ugotuje, ale tylko czasem.

Ja do niego mówię – nie pij, idź do roboty, zarób trochę grosza, a on tylko głową kręci, odwraca się i wychodzi.

Ten Marek to piękny dom zbudował. Sam ogród ma chyba z tysiąc metrów kwadratowych. W ogrodzie mały staw, człowieku, wchodzisz dalej i jesteś jak w raju. Ja mówiłam do Marka, weź brata, niech ci ogród trochę sprzątnie, ty przecież sam nie dasz rady, a on na to, że dobrze, dobrze, ale jeszcze ani razu nie poprosił. Oni tam mają dwa piętra. To się w głowie kręci. Na piętrze jeszcze nigdy nie byłam, ale byłam na dole, ach, jak tam jest pięknie na dole. Ogrzewanie podłogowe, wszystko wyłożone prawdziwym granitem. Tam cały czas musisz palić, bo kamień jest zimny z natury, ale oni mają pieniądze, im to nie przeszkadza.

Zadzwoniliśmy do drzwi, Marek nam otworzył, jego żona była w kuchni. Wiesz, oni mają tam na dole duży salon dla gości i taki mniejszy pokój. No to weszliśmy do środka, do tego mniejszego pokoju, ja dałam Markowi kwiatki, a on je zaraz zaniósł do kuchni i dał żonie. Usiedliśmy i czekamy, trochę było gorąco, to musiałam zaraz zdjąć to moje czarne bolerko, wiesz, to, co od was dostałam. Marek zapytał się, czy może napijemy się herbaty, a ja powiedziałam, że z chęcią, bo faktycznie cały dzień byłam na sprzątaniu i nawet śniadania nie zdążyłam zjeść, bo ta Orzechowska chce, żeby punktualnie o siódmej zaczynać, a ja trochę zasnęłam, bo leciał wczoraj w telewizji dobry kryminał. No wiesz, jak to jest. Marek trochę z nami posiedział, a potem przyszła jego żona z herbatą, nawet przyniosła kilka kawałków ciasta. Marek mówił, że wczoraj mieli gości, oni mają bardzo dużo znajomych, że żona upiekła ciasto, no i że trochę zostało. Ja piekę inaczej niż ona, moje nie jest takie suche, a to było prawie nie do zjedzenia, ale to nie szkodzi.

Trochę porozmawialiśmy. Oni dużo jeżdżą za granicę. Teraz byli na Cyprze. To taka wyspa, nawet nie wiem, gdzie leży. Mnie by się nie chciało tak daleko jechać. Tyle pieniędzy, za to przecież można dwa miesiące żyć. Pokazali trochę zdjęć, no a potem ona przyniosła te prześcieradła. Nie były takie jak myślałam, ale można było wziąć. Trochę jeszcze posiedzieliśmy, no i myślę sobie, trzeba się zbierać, więc wstaliśmy, a tu Marek poleciał szybko na górę.

Za chwilę schodzi z Maćkiem, wiesz z jego synem i mówi:

– Zobacz, Maciek, gości tobie przyprowadziłem.

To ja się pytam Marka, jakich gości, a Marek mnie mówi, że Maciek ma dzisiaj urodziny. Zdębiałam zupełnie, wiesz, na urodziny zawsze trzeba coś dać, a ja nie byłam przygotowana, tak to bym coś małego przyniosła, ale ja nic nie miałam. Patrę do portmonetki, a tu tylko duże banknoty, bo wczoraj Orzechowska zapłaciła mi za cały zeszły miesiąc. No to wyjęłam pięćdziesiąt złotych i dałam Maćkowi. On chwilę porozmawiał z ojcem i już go nie było. Wzięliśmy te prześcieradła i zaraz wyszliśmy, a mnie to wszystko nagle stanęło kością w gardle. Przyszłam do domu, włożyłam te cholerne prześcieradła do szafy... I się popłakałam. No, bo co miałam zrobić, na urodziny zawsze coś się daje.

Oglądałam uważnie mój poszczerbiony kubek z miętową herbatą w środku i nic nie przychodziło mi do głowy.

– Właściwie to w handlu starzyzną dostałabyś takie prześcieradła o wiele taniej – powiedziałam.

– No, dostałabym o wiele taniej, ale co miałam zrobić? – odparła, patrząc na stół przykryty starą ceratą. – Jeszcze herbaty, a może coś zjesz? – zapytała, nie zdając sobie nawet sprawy ze swojej bezinteresowności.

WIELKA RYBA

Pokój, w którym teraz mieszkam, jest cały biały. Ściany i sufit są białe, kafelki w łazience i w toalecie są białe, na oknach wiszą białe firanki, nawet chodnik przed łóżkiem jest biały, za to podłoga jest szara. Nie jest to, niestety, dębowy parkiet taki, jak w moim domu, tylko prawdopodobnie jakieś gumoleum. Mam łóżko, stół i szafę, solidne meble. Z okien pokoju widać stary park. Lubię rano wyglądać przez okno i obserwować biegające po alejkach duże rude wiewiórki. Krata w oknie trochę mi w tym przeszkadza i brak klamki w drzwiach wyjściowych na korytarz też mnie trochę denerwuje, ale wszystko jest kwestią przyzwyczajenia. Mieszkam tu już parę tygodni i tęsknię bardzo za moim domem. Lekarze mówią, że będę musiał jeszcze trochę poczekać, zanim wrócę do siebie.

Ta dziwna historia zaczęła się parę lat temu.

Mój dom zbudowałem przed dziesięcioma laty, zaraz po tym, jak rozwiodłem się z żoną. Wykorzystałem panujące w tym czasie niskie ceny gruntu i przystępne koszty budowy, inaczej nie mógłbym sobie na taką inwestycję pozwolić. Działka była częściowo zalesiona, z dużym stawem, w którym poprzedni właściciel hodował karpie i karasie. Dom postawiłem w ciągu dwóch lat. Działkę uporządkowałem i obsadziłem krzewami oraz roślinami według mojego ogrodniczego upodobania. Problemem był jeszcze tylko staw, za który jakoś nie mogłem się zabrać.

Nie miałem po prostu żadnej rozsądnej koncepcji Sąsiedzi, sympatyczni ludzie, dawali różne rady dotyczące zagospodarowania wodnej powierzchni, ale jakoś nic z tego nie wychodziło.

Ten staw fascynował mnie i przyciągał jak magnes. Potrafiłem godzinami patrzeć na powierzchnię wody, zapominając o wszystkim. Jeziorko było dość duże, miało przynajmniej około stu metrów średnicy, obrosnięte wikliną, małymi cienkimi czarno-białymi brzoźkami i trzcina, leżało na środku dużej torfowej łąki. Poprzedni właściciel obłożył brzeg dużymi polnymi kamieniami i zbudował mały pomost długości około dwóch metrów. Wiosną, kiedy woda była doskonale przezroczysta, można było, stojąc na pomoście, obserwować pływające tam i z powrotem małe rybki. Dookoła stawu wyrastały wtedy, czując nowy pęd życia, pędy pałek wodnych i irysów, pokazywały się pierwsze żółte kaczeńce. Wtedy przychodziłem nad staw i grzejąc się w pierwszych promieniach kwietniowego słońca, czekałem na pojawienie się wielkiej ryby. Czasami moja cierpliwość zostawała wynagrodzona. Po chwili głuchoj ciszy woda w stawie zaczynała się powoli, centrycznie cofać w kierunku brzegu, pozostawiając na środku coś w rodzaju dużego wodnego leja. Po chwili ostry wysoki ton świdrował moje uszy i nagle ze środka leja zaczynały wytryskiwać wysoko w górę strumienie spienionej wody, a na ich końcówkach tańczyła wielka, pokryta szarobiałą łuską ryba, poruszając równomiernie szerokimi skrzelami. Była wielkości małego samochodu. Walila rytmicznie w powietrze potężnym ogonem, wyginając się węzowymi ruchami. Przypominało to trochę taniec węgorza na trawie. Siedziałem oniemiały. Po chwili zjawisko zniknęło, a ja drżałem zafascynowany intensywnością przeżycia.

Minęła wiosna i przyszło lato, z wielką ilością ważek latających nisko nad wodą. Kwitły wtedy żółte irysy, pachniało mięta i rumiankiem, a przy brzegu kumkały żaby. Czasem pokazywała się szara czapla. Właśnie w lecie, przed kilkoma laty, postanowiłem zamknąć moją małą firmę i żyć z oszczędności, chcąc tym samym częściej i w niezakłóconym spokoju obserwować wielką rybę.

Był to naprawdę wspaniały widok, kiedy tak tańczyła na spienionych słupach wodnych, bijących ze środka stawu, a dookoła niej przebiegały w nieprzerwanym tańcu syreny o złocistych ogonach. W nagrodę za moją cierpliwość i długie godziny wyczekiwania zjawisko trwało coraz dłużej. Już nie wysoki ton fletu, ale fanfary towarzyszyły temu spektaklowi, a goście wodni, gryfy, syreny i smoki zwiłali się w węzowym tańcu. Oglądanie tego fantastycznego wodnego teatru było dla mnie jak narkotyk. Znajomi odeszli, sąsiedzi przestali się mną interesować, a ja przesiadywałem całymi dniami nad wodą, czekając z drżeniem serca i z suchymi ustami na kolejny spektakl.

Pewnego razu, było to chyba jesienią, zagrały fanfary i cały staw zapełnił się najróżniejszymi postaciami. W szalonym tańcu wirowali w kole również i nowi przybysze. Byli to wodni rycerze w ciemnozielonych maskach, o grzbietach jaszczurek, ze złotymi mieczami w rękach. Nagle jeden z nich kiwnął w moją stronę zapraszającym gestem. Nie posiadając się ze szczęścia, wskoczyłem do wody i podbiegłem do niego. Rycerz podał mi miecz i nagle, w tym właśnie momencie, zjawisko zniknęło, a ja, drżąc cały z zimna, przemoczony do nitki, wydostałem się na brzeg.

Chorowałem około dwóch tygodni. Musiałem mieć bardzo wysoką gorączkę. Podczas choroby nie opuszczało mnie jednak pragnienie uczestniczenia chociaż jeszcze raz w tańcu wielkiej ryby. Pewnego dnia, nie zwracając uwagi na moją słabość, zwlokłem się z łóżka i poszedłem nad staw. Panowało niezwykle przenikliwe zimno. Wiatr kręcił nad wodą suchymi brunatnożółtymi

liśćmi trzciny i tataraku. Tym razem nie musiałem długo czekać. Przy dźwiękach fanfar i rogów wodnych zawirował przed moimi oczami barwny krąg postaci, a wielka ryba ze złotą koroną na głowie, podtrzymywana słupami spienionej wody, gięła się w tańcu w narkotycznym transie. Jeden z rycerzy oderwał się od tańczących i podbiegł do mnie, wręczając złoty miecz i pokazując kierunek ataku. Biegliśmy we dwóch, jak psy gończe wietrzące zwierzynę. Po kilku minutach osiągnęliśmy fort i załomotaliśmy rękojeściami mieczy do bramy. Po chwili brama się uchyliła i zobaczyliśmy przed sobą naszego opancerzonego wroga z buławą w rękę. Bez słowa uderzyliśmy do ataku. Wróg wypadł z fortecy i uciekał, klucząc w kierunku stawu. Szybko go osaczyliśmy. Wielka ryba zastygła nieruchomo, tancerze zatrzymali się w pół kroku, a ja wbiegłem do wody, zbliżając się do uciekiniera. Zdecydowanym ruchem wbijałem miecz w korpus, starając się trafić w serce, tak długo, aż wróg upadł, znikając w wodzie. Zalała mnie fala triumfu i niepomahowanej radości. Tańczyłem w kręgu wodnym do ostatniego tchu.

Ta zima była bardzo ciężka. Nie bardzo już pamiętam, jak ją przeżyłem, musiałem być bardzo chory. Przypominam sobie tylko, że w pierwszych dniach wiosny, kiedy woda na stawie była już wolna od lodu, ktoś zapukał do drzwi. Zdziwiłem się bardzo, ponieważ od kilku lat nikt do mnie nie zaglądał. W progu stało dwóch umundurowanych policjantów. Nie bardzo mogłem początkowo zrozumieć, o co im chodzi. Dopiero po chwili, dotarła do mojej świadomości wiadomość, że w moim stawie znaleziono zwłoki właściciela sąsiadującej z moją działką posesji, który zginął jesienią zeszłego roku. Straciłem przytomność.

Ocknąłem się znowu w tym pokoju, w którym teraz mieszkam. Ludzie w białych ubraniach są dla mnie bardzo sympatyczni, ja jednak chcę bardzo wrócić do mojego domu. Wczorajszej nocy znowu przyszedł do mnie wodny rycerz, ale tym razem przyniósł miecz. Jutro rano ruszamy do ataku.

SZKIC

Magdalena siedziała przed sztalugami i szkicowała Jezusa. Zmieniała co chwilę koncepcję pomysłu. U jej stóp siał się białym śniegiem stos zmiętych kartek. Ten szkic był taki, jak jej całe życie. Trudny i właściwie bez szans. Nie bardzo wiedziała, jak rozwiązać ten problem. W jej duszy rósł obraz. Wyrazisty i dokładny w szczegółach. Brakowało jednak przełożenia. Wirowało w głowie. Nie mogła, przy pomocy swojej artystycznej kreski, przenieść wizerunku na papier. Może był to wynik lat nieporozumień, upokorzeń i stagnacji. Kiedyś malowała konie swobodnym ruchem pędzla, ciesząc oko zamawiających klientów. Kiedyś. Czas przeminął wielkimi krokami i oto teraz, mając w głowie wizję postaci, była bezradna jak dziecko, a koślawka kreska na kartonie śmiała się z jej bezradności.

Pragnienie malowania Jezusa, jego wiernego portretu, nie było zwykłą zachcianką malarskiej inspiracji. To instynkt zmuszał ją do działania. Może przyczyną był zwykły odruch samoobrony, a może walka z samozniszczeniem, z rozbitym życiem, gdzie godziny beznadziejnej egzystencji kradły czas uśmiechu i radości. Daj mi Boże tę szansę. Daj mi siłę i natchnienie.

Jezus przeszedł przez pokój, odwracając się w jej stronę. Był jak gdyby za mgłą. Nie mogła go dokładnie zobaczyć i sprecyzować malarskim spojrzeniem. Chwyliła go za rękę. Palce zamknęły się, chwytając pustkę.

Zerwała ze sztalug kolejny arkusz papieru. Zamarła w bezruchu. I nagle przyszło to, na co czekała od lat – wyciszenie. Uczucie nieznanne od wieków. Nawet, kiedy wyśmiewana przez męża chodziła do kościoła na czytanie Biblii, nie doznała nigdy takiego uczucia. To przyszło tak nagle. Wyciszenie i spokój duszy. W jednej sekundzie zapomniała o przegranym życiu, o beznadziejności swojej egzystencji w torturze tyranii. Zapomniała o codziennych upokorzeniach rozbijających jasną gwiazdę talentu. Pękły łańcuchy niewoli. Była wolna, wznosząc się w kierunku gwiazd. Ciemne chmury rozbiegały się w przeciwnych kierunkach, ukazując błękit nieba. W spokoju chwili dostrzegła jeszcze raz sylwetkę Jezusa. Podeszła do niego. Odwrócił się w zwolnionym ruchu. Ascetyczna twarz z szarym zarostem. Lekko zgarbiony i taki zwyczajny. Głęboko osadzone oczy paliły się ostrym płomieniem wiary. Ręka zastygła w geście pozdrowienia.

– Pomóż mi – szepnęła. – Pomóż mi i daj mi siłę.

Odpowiedź nie przyszła. Może nie usłyszał? Rozmawia z Jezusem. Czy jest to możliwe? Przecież chce go tylko namalować, uwiecznić. Uwolnić go od tanich obrazków sprzedawanych na jarmarkach. On, ten szlachetny, nie zasłużył na wizerunki domorosłych artystów.

– Pomóż mi.

Ręka trzymająca kawałek kreślarskiego węgla drżała, nie mogąc znaleźć początku drogi. Przeszłość zaczęła prostować się szeroką kreską. Klęski i upokorzenia znikwały z pamięci. Głowa

uwalniała się stopniowo od ciężaru zbędnych myśli. Świat zaczynał nabierać wyrazistych konturów. Kłamstwa chowały się węzowym ruchem. Przekonanie o własnej wartości budziło z pozornego letargu. Realny świat pukał do drzwi.

Kolejna kartka papieru. Boże, pomóż. To, co minęło, nie wróci, ale daj mi szansę. Ostatnią szansę. Odwrócił się do niej. Zapisywała gorączkowym drganiem pamięci wyrazisty profil z lekko wystającym podbródkiem. Zniknęły bariery strachu i zwątpienia. Ręka pracowała tak pewnie, jak za dawnych lat. Zniknął strach przed jutrem. Swoboda szkicu wyzwalała się skrzydlatym rumakiem. Byle tylko nie przestać. Pozostać w uczuciu wolności. Uchwyciła spojrzeniem sylwetkę i przeniosła ją na papier. W uniesieniu sukcesu szkicowała profil Bożego Syna. Rysunek nabierał wyrazu. Byle nie przestać. Jeszcze tylko te oczy. Patrzące tak wyraziście. To nie jest realne, a jednak tak prawdziwe. Zgrzebna szata dopełniająca postać. Na horyzoncie drzewa. Może palmy, a może kasztanowce. On jest przecież wszędzie. Modlitwa wzbija się rakieta do nieba. Ostatnie uzupełnienie szczegółów. Wreszcie dostąpiła łaski. Ze sztalugi spoglądał na nią ten, który pozdrawia, rozgrzesza i błogosławi. Czują drętwienie palców. Opadła z wolna na stojące pod ścianą krzesło. Patrzyła na Niego, tak pięknie uwiecznionego jej własną, węglową kreską. Świat wirował. Zamknęła oczy. Przeszłość galopowała obrazami. Traciła przytomność. W szczęśliwym spełnieniu swojego zamiaru poddawała się rytmowi przeznaczenia. Była sama, a przecież podawał jej rękę, prowadząc przez ciszę. Do wieczności. W szczęściu i zapomnieniu.

FLECISTA

Był zmordowany do nieprzytomności, śpiący i zmęczony. Znowu przyszła wycieczka, a w małym barze nie było za dużo miejsca i trzeba było się spieszyć. – Filiżanki, filiżanki! – krzyczał szef, wpadając do małej odrapanej kuchni. Zmywać, zmywać. Wyszarpował wtedy korek ze zlewu, spuszczał brudną wodę i nalewał świeżej, dosypując jednocześnie nową porcję proszku. Wrzucał kolejne naczynia i zaczynał kręcić szczotką. Najgorszy był brak snu. Od czasu do czasu brudne naczynia w zlewie zmieniały kształty. Okrągłe talerzyki przeobrażały się w półmiski, a filiżanki w wysokie szklanki barowe. Automatyczne ruchy rąk nie ustawały. Zmywać, zmywać!

Był tańszy od zmywarki i wiedział o tym. Jako pomywacz pracował w tym małym barze już dwa lata, o dwa lata za długo. Pracował od szóstej rano do szóstej wieczorem. Czasem zastępował kolegę z nocnej zmiany, przedłużając swoją pierwszą zmianę o dodatkowe godziny do czwartej rano. Zastępstwo brał jednak rzadko, chyba że musiał, ponieważ nocami czyścił kina w centrum miasta oraz wyprzątał piętnaście budek telefonicznych zleconych przez znajomego. Wypłatę w barze brał co tydzień. Opłacał za to mały nieogrzewany pokój i starczało jeszcze na bieżące wydatki. Pieniądze za kina i budki odkładał żelazną ręką. Pracował siedem dni w tygodniu. Był małym automatem bez przyszłości i przeszłości. Zamknięty w brudnej kuchni, pochylony nad zlewem z czerwonymi od proszku i gorącej wody rękami, nie myślał o niczym, nic nie czuł, skoncentrowany na głosie szefa wołającego zza baru o nową porcję naczyń.

Czasem na specjalne żądanie wycierał stoliki i zamiatał podłogę. Było to dla niego wielkie wyzwolenie, była to szansa na prostą pozycję i inny rodzaj ruchu. Mógł wtedy zamienić kilka słów z siedzącymi na wysokich stołkach klientami patrzącymi ze współczuciem na jego lekko już zgiętą, pomimo młodego wieku, sylwetkę i czerwone od niewyspania oczy. Musiał być wtedy baczny i uważny. Już kilka razy w przeciągu tych dwóch lat udało mu się zaoferować klientom swoje usługi i pomoc w przeniesieniu bagażu do taksówki w zamian za mały napiwek. Szef był dobry i nie zabraniał.

Poza tym był sam w tym wielkim mieście. Brak czasu nie sprzyjał nawiązywaniu kontaktów, a czasu brakowało nawet na sen. Można było z tej pracy wyżyć, a jednak w głębi duszy podnosił się pomału i systematycznie głuchy protest. Pomimo że bodźce z zewnątrz praktycznie nie istniały, coś się w nim zmieniało. Być może było to pragnienie zmiany, może czuł instynktownie niebezpieczeństwo stopnia zmysłów, a może było to po prostu pragnienie snu i odpoczynku. Tak czy tak, monotonia egzystencji zabijała powoli jego duszę. Jadąc metrem do pracy i z pracy nie zauważał już siedzących obok pasażerów. Patrzył na czubki swoich butów i drzemał. Był to zawsze krótki, pokrzepiający sen, sen bez marzeń, wielka czarna dziura dająca możliwość chwilowego relaksu. Czasami, kiedy nie mógł zasnąć, patrzył przez brudną i porysowaną szybę na przesuwającą się szybko w łoscocie kół ciemność tunelu, przerywaną od czasu do czasu błyskiem umieszczonej na ścianie lampy. Chciałby się wtedy zastanowić nad swoim życiem i sensem tego, co robił, ale opanowywała go zawsze jakaś dziwna niemoc, która nie pozwalała na skupienie myśli i podjęcie

jakichkolwiek sensownych decyzji. Za każdym razem starał się przełamać i za każdym razem przegrywał tę małą bitwę, zdając sobie sprawę ze swojej słabości. Był zamknięty w szarej codzienności swojej egzystencji, tak jak chomik zamknięty w klatce, który w złudzeniu ruchu do przodu biegnie w miejscu w drabiniastym kółku, bez możliwości wydostania się na zewnątrz.

Do pracy jechał około godziny. Wysiadał zawsze na tej samej stacji i dalej szedł pieszo. Po dziesięciu minutach był już w swoim barze. Szefa o tej porze jeszcze nie było. Za barem stał jak zwykle znajomy Węgier, sortując przywiezione rano paczki kielbasek, frytek i warzyw do kanapek. Kilka minut później przyjeżdżał piekarz z bułkami i ciastkami. Pierwsi klienci zjawiali się o siódmej rano. Ta godzina od szóstej do siódmej była jego codzienną godziną szczęścia. Wbijał wtedy na gorącą barową płytę trzy jajka, dokładał kilka plasterów boczku i dwie grzanki. Nie tracąc czasu nalewał z dużego automatu aromatyczną kawę, uzupełniając ją mlekiem. Po chwili jajka i bekon były gotowe. Sciągał bekon, jajka i grzanki jednym ruchem na talerz i pijąc łączywie kawę, szybko spożywał posiłek. Miał na to około dziesięciu minut. Po chwili stał już przy zlewie i zmywał w wolnym tempie ostatnie naczynia sprzątnięte ze stołów o czwartej rano. Ożywienie po śniadaniu miało już po kilku minutach i znowu popadał w stan letargu, poruszając szczotką w zlewie. Reszta dnia była jak szara lepiąca się masa niedająca się precyzyjnie opisać. O szóstej wieczorem szedł do domu, o ile nie robił zastępstwa na noc. Na spacer nie mógł sobie pozwolić. Siedział w kolejce i jechał na południe miasta, tam gdzie wynajmował pokój. O wpół do ósmej był na miejscu. Mały pokój o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych zupełnie mu wystarczał. Rzucił się na łóżko i natychmiast zasypiał. Budzik dzwonił o jedenastej w nocy. Szybko wstawał, gorączkowo przetykał letnią kawę z termosu i biegł do kolejki. Na czwartej stacji wysiadał. Tam czekał na niego jego drugi szef z samochodem. Jechali do centrum, czyszcząc po drodze budki telefoniczne. O pierwszej rozpoczynali czyszczenie kin, o czwartej był znowu w domu, drzemał godzinę i o piątej jechał już kolejką do pracy i tak mijał dzień za dniem.

Przyszła wczesna wiosna, ranki były jeszcze przenikliwie zimne. Któregoś dnia wysiadł jak zwykle z kolejki, otulił się kurtką i szedł szybko w kierunku swojego baru. Węgier stał za ladą i porządkował naczynia. Wszedł do środka i ogarnęła go nagle, chyba pod wpływem ciepła, fala niespotykanego znużenia i zmęczenia. Nie odczuwał już nawet głodu i nie miał chęci na nic. Stał i patrzył przez dużą barową szybę na wirujące na ulicy śmieci, przesuwane tam i z powrotem zimnym marcowym wiatrem. Słońce wschodziło szybko i pierwsze czerwone promienie dotarły już do witryny. Nagle zza rogu małej uliczki wyszedł mężczyzna otulony w długi szary, stary płaszcz. Na plecach miał zniszczony plecak, w ręku wypełniony czymś plastikowy worek do śmieci. Prawdopodobnie biedak bez domu i pracy, jakich można znaleźć wielu w tym dużym mieście. Kroki przybysza były coraz mniej zdecydowane. Obcy podszedł do szyby. Ich spojrzenia skrzyżowały się nagle i bez ostrzeżenia. Nieznajomy miał jasnoniebieskie oczy o niespotykanym wyrazie, oczy świdrujące duszę. Szpakowate, długo nieścinane włosy, sięgały do ramion. Uśmiechnął się przepaszająco, odstawił worek i zdjął plecak. Węgier za ladą obserwował go sceptycznie, szykując się pomalą do przegonienia intruza. Przybysz wyjął z kieszeni mały drewniany flet i zaczął grać. Nie mógł oderwać od niego wzroku. Fantastycznie piękna muzyka wypełniła całą ulicę. Zapominając o czekających na niego stosach naczyń, wyszedł przed bar i słuchał. Wiatr rozwiewał szare włosy flecisty, poły długiego płaszcza poruszały się na wietrze, jak gdyby tańcząc w takt muzyki. Tony fletu, łączone geniuszem muzyka w nieznaną melodię, działały jak narkotyk. Słońce, wschodząc coraz wyżej, oświetliło grającego, zmieniając go w nieokreślone cudowne zjawisko, fatamorganę, zdarzenie z dnia świątecznego, zamknięte w nierealności chwili. Patrzył na grającego, na to nieokreślone i niespodziewane zjawisko i poczuł nagle, że zmęczenie nawarstwiający się od lat powoli ustępuje. Nagle mógł skupić myśli. Muzyka dodawała mu odwagi, której tak bardzo potrzebował. Tony fletu rozbijały szarą bezkształtną masę otaczającą go tyle lat. Węgier też wyszedł przed bar i słuchał w zaskoczeniu. Flecista grał dalej, a oni stali tak w zaczarowanym kręgu muzyki... I czas się zatrzymał, i trwała tak przez moment ta chwila intensywnego szczęścia wyczarowana z małego drewnianego instrumentu. Po kilku minutach wspaniałego koncertu nieznajomy schował flet do kieszeni, zebrał swoje bagaże i zniknął za rogiem. Węgier wszedł do baru, a on, uwolniony nagle od ciasnej kuchni i stosu brudnych naczyń, poszedł ulicami wielkiego miasta z mocnym postanowieniem rozpoczęcia nowego życia. Wciąż słyszał grającego flecistę i to dodawało mu sił.

Krzysztof Kamiński

Zdzisław Michał Kamiński

FRASZKI

WIOSNA PANOWIE

Za nami już chłodny marzec,
A maj przynosi podniety duze.
Ja też jako obleśny starzec
Chętnie podejrzę jakąś Zużę.

EROZJA

Czas herosów zmienia w kundli.
Sic transit gloria mundi.

ESKALACJA

Ciało w upadku. Dobrze, że duch nie!
Wczoraj się ślepiło. Dzisiaj się głuchnie.

WYOBCOWANIE

Mnie nie zajmują polityczne fronty.
Mam dużą awersję do zachowań stadnych.
Choć mam podobno szerokie horyzonty,
To jednak perspektyw nie mam żadnych!

SMALL BUSINESS

Myślę, że można stwierdzić dobitnie,
Że „U Tereski” interes kwitnie.
Trochę pomogłem miłej Teresie:
Maczałem palce w jej interesie.

TALENT

Prawdziwy talent to wyjątek.
Czasami muza przysiądzie przy kimś.
Jeden z talentem robi majątek,
A drugi pisze głupie wierszyki.

BEZBOLESNA PRZYPADŁOŚĆ

Gdy skleroza już zagości,
To nie myśl o jutrze.
Będą chwile świadomości,
Ale coraz krótsze.

LIMERYKI

NIE MA TEGO ZŁEGO

Był marynarz z miasta Rzepin,
Co mu prącie odgryzł rekin.
Dziś z seksem ma spokój
I luźniej ma w kroku.
A służy w sklepie za damski manekin.

OWADZIA MIŁOŚĆ

Pszczółka Ula z ula we Wleniu
Zakochała się kiedyś w szerszeniu.
Prosto się to odbyło.
Skonsumował tę miłość.
Ula dalej fruwa, choć w innym wcieleniu.

STARE GRZECHY

Był ogier Oleś, koński Don Juan,
Którego kiedyś dosiadał ułan.
Doznawał Oleś lamentów
Z powodu licznych alimentów.
Osiwiał z tego, choć dawniej był bułan-y!

BYĆ NA TOPIE

Krowa z Ryk imieniem Chelsea
Powiększyła sobie piersi.
By z kulturą nie być w tyle,
Literackie zgłębia style.
Czyta właśnie „Good night Dżersi”.

UŁAŃSKA FANTAZJA

Murzyn Bento z prowincji N’debre
Chciał być ułanem, więc osiodłał zebkę.
Zebra rzecz prosta
Czarnego ułana poniosła.
Wyszedł z tej próby ze złamanym zębem.

MAJÓWKA NAD WODĄ

Dżdżownica Klara z gminy Grzyby
Lubiła podróże, ale na niby.
W realu jednakże
Wyjechała także:
Wyciągnął ją chłopak na ryby.

ŚMIERĆ ARTYSTY

Kanarek Puzio z miasta Gniew
Niespodziewanie wziął i zdechł.
Pewnej majowej niedzieli
Zachłysnął się w czasie trelu.
I to był jego łabędzi śpiew.

AFORYZMY

Alimenty to kara za chwyty poniżej pasa.

To, że ktoś strzela z grubej rury, nie świadczy
jeszcze o tym, że to człowiek wielkiego
kalibru.

Nagroda za pсіą wierność bywa sobacza dola.

Zdzisław Michał Kamiński

AFORYZMY

Zawołanie „Wielkie nieba!” nie dowodzi znajomości astronomii.

Mijając się z prawdą włączajmy światła mijania.

Wiatr historii nie rozwiewa wszystkich wątpliwości.

Łoskot werbli nie zagłusza łomotu serc.

Z opresji na naradach wychodzi zawsze obronną ręką, którą podnosi zgłaszając wniosek o zamknięcie dyskusji.

Wielu z tych, co świecili przykładem, utonęło w mroku niepamięci.

Wyższy stółek nie zawsze zwiększa pole widzenia.

Przyływ uczuć zatapia często zdrowy rozsądek.

Jest biegły w matematyce: potrafi natychmiast wyliczyć dla siebie procent od każdej różnicy zdań.

Rozszerzył własne horyzonty: tak często zmieniał punkt widzenia, aż doszedł do płaszczyzny.

Wstydu jeszcze nikt nie najadł się do syta.

Schodząc na złą drogę niewiele uwagi zwracamy na jej nawierzchnię.

Przerosty ambicji najczęściej przerastają oczekiwania.

Co pewien czas płonęła świętym oburzeniem, aby dla własnych grzechów stworzyć dymną zasłonę.

Płytkie myśli szerzej się rozlewają.

Wietrzenie sensacji nie odświeża atmosfery.

Porażka zawsze jest gorzka, smak sukcesu bywa bardzo zróżnicowany.

Słowa rzucane na wiatr owocują w niewłaściwym czasie.

Nawet trzymając drzewce sztandaru nie zawsze wyczuwa się kierunek wiatru.

Mając oczy otwarte na świat trzeba je przymykać na ludzkie słabości.

Fakty pozostają suche nawet w powodzi słów.

Od tkliwości do dotkliwości jest tylko jeden krok.

Rzucając komuś rękawicę bacz, aby nie była to rękawica brakująca mu do pary.

Dyrygenci także popełniają nietakty.

Ciężar gatunkowy nie zawsze zależy od gatunku.

Pobożne życzenia nikogo nie uczyniły świętym.

Uważaj! Woda wlewana do sprawozdań może być wodą na czyjś młyn.

Pamiętaj, że dziś kadzą nie tylko świętym.

Niektórzy nawet wnioski wolą wyciągać cudzymi rękami.

Mur obojętności także się składa z pojedynczych cegiełek.

Szermierze idei także niekiedy walczą w maskach.

Sukces: trafić do przekonania osobie pozbawionej przekonania.

Miał własny sposób bycia: zachowywał się tak, jakby go w ogóle nie było.

W dyskusjach często wychodzimy z założenia wcale do niego nie wchodząc.

Wielu odbija palma pierwszeństwa.

Nie wiedział, kiedy przestać pływać,
więc go spławili.

Działał na różnych odcinkach, ale nigdy
nie wyszedł na prostą.

Warto byłoby na wzór oczyszczalni ścieków
budować oczyszczalnie poglądów.

Nie każdemu pustosłowiu dany jest
cudzysłów.

Łatwiej odwyknąć od sukcesu niż
od propagandy.

Woń kadzidła nie zawsze prowadzi
do ołtarzy.

Tylko płaszcząc się osiąga odpowiedni
format.

Uderz w stół, a odezwą się nożyce cenzora.

I liberałowie wkładają czasem liberie.
Dla lepszego samopoczucia.

Złożoność sytuacji nie oznacza, że należy ją
rozkładać.

Udając Greka nie zostaje się Sokratesem.

I przy iskierkach nadziei stawia się czasem
gaśnice.

Niewypały myślowe z reguły detonują
ustami.

Jeden śmieć może naruszyć porządek świata.

Kropla draży skałę, ale kropla goryczy
skuteczniej.

Rozłożona ekonomia tworzy złożoną
sytuację.

Samemu można odpuszczać sobie dobre
uczynki.

Gdyby przemilczenia mogły mówić!

Tylko nieliczni pojmują własną głupotę.

Dzieci zawsze na coś wychodzą. Czasem
nawet na ludzi.

Każdą strukturę może uzdrowić organizacja.
Wykończyć również.

Najbardziej niebezpieczne falstarty:
w puszczeniu pary z gęby.

Jedni wybierają półśrodki z lewej, inni
z prawej strony środka.

Fałszywe tony rzadko bywają półtonami.

Nie przeceniajmy kaganka oświaty. Jest
często bezsilny wobec ciemnoty umysłowej.

I po słowie „amen” nie zawsze można
z czystym sumieniem postawić kropkę.

Złudzenie wiosny to czasem tylko zieloność
decydentów.

Walki z wiatrakami także przysparzają
kombatantów.

Mierzenie sukcesów na łokcie byłoby bardzo
adekwatne.

Przemiana materii wyprzedza przemiany
ducha.

Jakie warunki należy stworzyć ziarnom
prawdy, by kiełkowały?

Niektóre myśli cierpią na lęk wysokości.

Był alfą i omegą. Znał tylko te litery.

Wahania o małej amplitudzie nazywamy
stabilizacją.

Na granicy epok są strażnicy konserwatystów.

Niejeden aforysta czochra myśli. Ale jakże
daleko im do „Nieuczesanych”...

Kogo gryzie sumienie narodu?

Przedłużane milczenie zaczyna mówić.

Nie każdy upadek wynika z grawitacji.

W polityce obowiązuje prawo zachowania
ciemnej masy.

Niejedną rocznicę obchodzimy w przyzwoitej odległości.

Miecz w rękę Temidy drży czasem bardziej niż waga.

Nie rozwijał skrzydeł. Wolał być larwą w kokonie wazeliny.

Nigdy nie odbiegał od tematu – to tematy odbiegały od niego.

Racja stanu nie zawsze bywa stanem racji.

Ważność bitwy to czasem suma ważności kombatantów.

Aureola wyznacza czasem krąg myślenia.

Niejeden wicher historii rozpoczynał się powiewem optymizmu.

Czy ocalałym wiatrakom śnią się czasy Don Kichota?

Horyzonty karier bywają szersze od horyzontów myślenia.

Koturny nie podwyższają poziomu aktorstwa.

Gdybyż w mrokach umysłu codziennie świtała myśl...

Większość historycznego gruzu pochodzi z murowanych okazji.

Usystematyzowana niewiedza bywa namiastką wiedzy.

Głębia przekonań ma czasem podwójne dno.

Nie każcie wielbłądowi przechodzić przez ucho igielne. A nuż się zmieści.

Paradoks dziejów: masą krytyczną okazuje się najczęściej ciemna masa.

W ilu głowach trzeba skołować myśli, aby zakręcić historią?

Ptasie mózdzki są mniejsze. Ale bardziej lotne.

Przy niejednej piramidalnej głupocie drzemie współczesny Sfinks.

Rewolucję od ewolucji różni jedna spółgłoska. Ale dźwięczna i to jak dźwięczna...

Ostatnich gryzą psy. Pierwszych często sumienie.

Świecznik nobilituje. Szczególnie knoty.

Nawet wspólny mianownik jest pod jakąś kreską.

Niektórzy poeci siusiają do źródeł własnego natchnienia.

Piła szczyrzy zęby, bo jej z tym do twarzy.

Zbliżając się do celu zakładajmy kamizelki kuloodporne.

Nie zamykaj się w sobie! Zaczną cię podejrzewać o bogate wnętrze.

Fatamorgana bywa zaczątkiem pustyni.

Przy wulkanie i kapiszon łatwiej wybucha.

Estetom nawet sztorm pachnie różą wiatrów.

Coraz częściej figury decydują o wyborze szachownicy.

O próg nadziei niejeden nabił sobie guza.

Wiele zjawisk graniczących z cudem czeka na zniesienie wiz.

W prozie życia coraz więcej myślników i znaków zapytania.

Na notowaniach własnej głupoty można nieźle spekulować.

Zdrowy tryb życia to dla niektórych tryb rozkazujący.

Ćwierćinteligenci uwielbiają półprawdy. To daje im poczucie rozwoju.

Niejedna pałka marzy, aby być batutą.

Rękojeści sztyletów dopasowywano do dłoni.
Ostrza zawsze pasowały do serc.

Nie każda gasnąca gwiazda zwiastuje świt.

Pytanie do kół dobrze poinformowanych: jaki
jest luz w układzie kierowniczym?

Nie każde półkule mózgowie pasują do siebie.

Czego rzecznik nie dopowie – nedorzecznicy
wykrzyczą.

Tak naprawdę tylko niebo ma gwiazdorską
obsadę.

Buńczuczne myśli chodzą po głowie krokiem
defiladowym.

Zanim złożysz ofiarę, przypatrz się ołtarzowi.

Rozanielenie nie zawsze bywa przedsiönkiem
nieba.

Wiatr historii gwizdże na stabilizację świata.

Dwuznaczna sytuacja jest jednoznaczna
przynajmniej dla dwóch osób.

Głębia uczuć woła czasem o peryskop.

Pokrętne odpowiedzi krzywią proste pytania.

Janusz Sipkowski

Kazimierz Słomiński

F R A S Z K I
(2010 - 2011)

A KUKU!

Tere fere no i kuku,
bo spudłował Amor z łuku.

BIEDNY POLAK

Polak potrafi,
tylko nie w swojej parafii.

WYTWÓR USTROJU

Głupi człowiek sukcesu
do małych interesów.

Z KOCHANOWSKIEGO

Nie każdy weźmie po Bekwarku lutniej,
bo bez niej pisać można bałamutniej.

PRZY KOBIECIE

Dziwnie się plecie na tym bożym świecie,
a zwłaszcza chłopu przy głupiej kobiecie.

DOLA

Taka już narodu dola,
że po szkodzie biedny Polak.

Z MEDYTACJI O ŻYCIU GODZIWYM

Prowadzę życie godziwe,
bo się godzę z tym, co miłe.

DEWIZÓWKI

Tylko takiemu z dewizowym wkładem
bywały rade.

POZNAWALNA

Już niejednemu poznać się dała
bardziej z perfidii niżeli z ciała.

TRZECI KUR

Po to nad ranem trzeci kur pieje,
żeby się ocknął gach, gdy już dnieje.

CYRKULACJA

Z wiatrem w zawody
igrają smrody.

NAZWISKA

Piękne nazwiska u oszołomów,
lecz ja się pytam: – Ale jak z domu?!

PLOTKA

Namiele jęzorem głupia,
a na niewinnej się skrupia.

CZASY, OBYCZAJE...

Więcej się u nas bierze niż daje,
a to źle wpływa na obyczaje.

KUPIDO

Niepoprawny jest Kupido,
bo wciąż działa na libido.

PARKI

Wiją się parki w miłosnych splotach
i tak się przedzie ta nić żywota.

WISUS

Dla rezolutnej czy dla skromnisi
dobry i wisus, jak mu nie wisi.

ECH, TA GŁOWA!

Przed tylną częścią ciała
ciągle by kapitulowała.

NA OSTATEK

Zamilkł słowik na ostatek,
jak już róży opadł płatek.

KONSTATACJA

Z zamętu w zamęt wchodzi świat ducha –
przy głupich rządach i zawieruchach.

DO JUTRZENKI

Wstyż się, jutrzenko, takiej swobody,
kiedy mamona tłamsi narody.

LITERAT

Dobry literat – chudy literat,
bo każdy ustrój nim poniewiera.

DRAŃ

Już taki jestem zimny drań,
że do gorących wzdycham pań.

DZIEŁO SZATANA

Oj dana, dana, dzieło szatana,
że demokracja jest zwariowana.

REFLEKSJA PRZY ŚMIETNIKU

Czas nieludzki
dla maluczkich.

DLA STARSZYCH PANÓW

Wesołe jest życie staruszka,
jak mu nie zrzędzi w łóżku babuszka.

NATURA

Ludzka natura postać ma różną,
próżni nie znosi, lecz znosi próżność.

MAJESTAT

W całej pełni, w całej krasie
dupa w górę wypina się.

O ZADKACH

Wzloty i upadki
przeżywają zadki.
Cud, że nie dostała
skrzydeł ta część ciała.

WAŻNIAK

Wlazł wysoko. Jak na razie.
Tylko nie wie, jak się złazi.

POMNICZEK

Exegi monumentum –
stosownie do talentu.

FIGURA

Najbardziej cenię tę u dziewczęcia,
kiedy się pręży w moich objęciach.

CO ZA CZASY!

Możliwości literata
cokolwiek dziś zwichnięte –
nie podrapie się już piórem,
nie zachłyśnie atramentem.

NATURA

Natura ludzi – rzecz maluczka,
gdzieniegdzie nawet bywa ludzka.

WESTCHNIENIE FRASZKOPISA

Masz dwie linijki i rym do kwadratu.
I bądź tu twórcą wielkiego formatu!

SŁOWIK I RÓŻA

Choć słowik obok śpiewa zawzięcie,
róża wpatrzona w swoje kwitnienie.

PIĘKNO ZAKŁĘTE

Fraszki wy moje! Niech skrzy się i mam
piękno zakłęte pomiędzy rymami.

NIE NAPISZĘ

Epopei nie napiszę,
bom jest tylko fraszkopisem.

SŁOWIK

Oj, niezły z niego jest bałamut –
każdej róży śpiewa to samo.

TAJEMNA

Fraszka formę ma tajemną,
ma swój urok i pojemność.

MAGIK

Pokazał jej hokus pokus
na zaspokojenie pokus.

TOLERANCJA

Nie potępiam nawet cnoty,
jeśli czuła na pieszczoty.

HISTORIA

Z epok kamienia w epokę śmiecia
doprowadziły nas tysiaclecia.

Z LUDZKĄ TWARZĄ

Kapitalizmem z ludzką twarzą
niejeden naród dziś porażon.

WRÓŻENIE Z FUSÓW

Tak dużo dzisiaj w fusach chemii,
że nawet wróżyć nieprzyjemnie.

ZMIANA ORTOGRAFII

Było w niej ponoć nakazane,
że „nie” piszemy razem z Urbanem.

MEDIA

Media dziś niby takie porządne,
a podtruwają zdrowy rozsądek.

AKTUALNY KIERUNEK

Po realizmach dziś na fali
demagogiczny surrealizm.

O WŁADZY

Dziś plątanina koszmarków
w każdym władzy zakamarku.

NA KOLANACH

Praworządność na kolanach –
poprawnie zdeprawowana.

POZOSTAŁOŚĆ

Świat się wciąż zmienia i zmienia.
Tylko na sercu epoka kamienia.

DEKALOG

Czy to w kamieniu, czy w ludzkiej duszy –
kruszy się i kruszy.

WZÓR ROZWOJU

W naszym rozwoju dzisiaj jest wzorem
mózg połączony z telewizorem.

SŁODKA

Praworządność dzisiaj słodka
od środka i od półśrodka.

NIELOTY

Pegazy niełoty –
natchnienie miernoty.

SŁUGUS

Niejeden sługus ciemności
na świeczniku gości.

ZAWIEDZIONA

Bo tylną częścią ciała
do szczęścia startowała.

GROSZ PUBLICZNY

Zawsze się znajdują takie sierotki,
co to z budżetu wygrzyzą środki.

PRAWDA

Prawda maluczkim podana
to prawda fałszem faszerowana.

SŁABOŚĆ

Popadam w wir uzależnienia,
bo uzależniam się od mienia.

O MODZIE

Modę traktować trzeba z powagą,
bo nam pozwala oswajać nagość.

BAJKA

I żabie udka polubiłbym zapewne,
gdybym mógł wcześniej odczarować
królową.

PTASI MÓŹDŹEK

Za osłoną dzioba
miejsce sobie upodobał.

SUKCES

Sukces ojców ma wielu.
Zależnie od rangi burdelu.

RADA

Czyś jest prominent, czyś jest towarzysz,
rób dobrą minę do braku twarzy.

DEMOKRATYCZNE PIESZCZOTY

Cwańsi macają nas po kieszeniach,
a reszta zwykle nie ma znaczenia.

PRYMITYW

Jest nie byle czym,
bo zawsze wie dzie prym.

DWIE LEWE

Ach, jest z tej niebogi
kawałek niecnoty,
bo ma dwie lewe nogi
do łózkowej roboty.

COŚ SIĘ PSUJE...

Choć porządek w państwie niby,
ciągle śmierdzą grube ryby.

BAJKA OKRUTNA

Od strony wnętrza została żaba,
bo odczarował ktoś ją za słabo.

ZAPOMINALSKA

O Kowalskim nie pomni Kowalska,
bo taka jest już zapominalska.

NIE DZIWOTA

Serduszkę się nie dziwię,
że chce być z tyłkiem w komitywie.

POSIADACZKA WYPUKŁOŚCI

Do białego rana
niezrównana.

APEL

Hej, literacie, bierz się do dzieła,
póki ci Muza nie odfrunęła.

NA RADOSNE NAZWY KONKURSÓW POETYCKICH

Laur jabłoni? Co za dziwy!
Proponuję laur z pokrzywy.

OGŁOSZENIE

Uczciwy uczci mamonę –
kanty, szwindle zapewnione.

MOJA SŁABOŚĆ

Ze słabizną słabeuszem
dla płci pięknej bywać muszę.

SIURPRYZA

Nim się główka opamięta,
swoje zrobią jej nóżęta.

SEKRETARKA

Idealna sekretarka:
w głowie sekret, w nogach szparka.

O WĄTPLIWOŚCIACH

Wątpliwości nie brakuje,
aż je czasem w wąpiach czuję.

O RAJSKIM JABŁUSZKU

Od jabłuszka do ogryzka
konsumują raj ludziska.

ŻYCIE

Dla niektórych snem jest ponoć,
lecz nie zawsze z własną żoną.

MIŁOŚĆ I MAŁOŚĆ

Gdzie miłości jest za mało,
tam się puszy ludzka małość.

O PRAWIE

Taka z prawa jest nauka,
że za dużo w nim kaduka.

DWIE LEWE

Nad decydem się nie rozczuję,
że ma dwie lewe... w mózgu półkule.

SOLIDARNOŚĆ

To największa ludzka marność –
ta z kieszenią solidarność.

NA NIEWYDOLNOŚĆ URZĘDÓW

I jak tu załatwić od ręki,
gdy petent w portfelu za cienki?

NIE TA EPOKA

Sędziów i królów minęły czasy,
dziś rządzą błazny albo złamasy.

KONKLUZJA

Braku głowy u głupola
nie zastąpi aureola.

O POKRZYWIE

Sparzyłem się na pokrzywie,
a więc gębę do niej krzywię.

U ANGLIKÓW

Lady może se poszaleć
z džentelmenem na trzy cale.

NAJWIĘKSZY WYNALAZEK

Koło fortuny? Straszna z nim bieda,
bo się nikomu ujeździć nie da.

O MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

Miłości bliźniego do pieniądza
ja – biedny grzesznik – nie chcę osądzać.

O WYDARZENIACH

Niewydarzone te wydarzenia,
więc i na lepsze świat się nie zmienia.

O WOLNOŚCI

I w piekle wolność na chętnych czeka –
na wolnym ogniu będą przypiekać.

TWARZ USTROJU

Tyłem odwrócił się ustrój nasz
i mi pokazał swą zadnią twarz.

POLSKA POLITYKA

Na świeczniku rejwach dziki –
hucpa zamiast polityki.

ZDROWIE I URODA

Niejedna zdrowa sztuka
w lustrze urody szuka.

BEZPIECZNY SEKS

Między nami nic nie bywa,
chyba że prezerwatywa.

MINI

Minispódniczka z minityłeczkiem,
a i rozumek mini troszeczkę...

JAWNOGRZESZNICA

Winna jest tylko jawnogrzesznica,
bo z kim grzeszyła – to tajemnica.

PRZYPADŁOŚĆ

Męska przypadłość do damskich nóżek
niech jak najdłużej mnie z miłą służy.

DO TWÓRCY

Możesz se mówić: – Non omnis moriar.
Zadecyduje o tym historia.

PO TRANSFORMACJI

A jak ruszyła wolność z kopyta,
kłopot ma z pracą wolny najmita.

ROZKOJARZONY

Niechący zbłądził do cudzej żony,
bo był w małżeństwie rozkojarzony.

LINIA

Lubię ją doceniać
po zaokrągleniach.

WESTCHNIENIE

Wiosną, ach wiosną
nawet listki figowe rosną.

SPOJRZENIE SATYRYKA

Ciągle dziwię się koszarom,
co mi robią świat na szaro.

PYTANIE

Czy to jest szczęście, czy to jest pech,
gdy spowszednieje człękowi grzech?

BYĆ SOBĄ

I jak być sobą? Rzecz przesądzona,
gdy ustrój gniecie i pieści żona.

TRÓJCA

Mąż, żona i diabeł trzeci...
I raj się w stadle rozleci.

INTERESOWNY

Tam i najchętniej znaleźć się lubi,
gdzie się nie zgubił.

HAPPY END

Wtedy i przygód kończą się dziwy,
kiedy na koniec koniec szczęśliwy.

FORTUNA

Fortuna toczy się kołem.
Ledwie spod niego czmychnąłem.

ZAMIAST BEZKRÓLEWIA

W demokracji, że tak powiem,
permanentne bezholowie.

SZTUKA

Dobrze jest, gdy piękna sztuka
artysty swego się doszuka.

DZIWIY I NATURY

Wolę podziwiać dziwy natury
niżli naturę dziw poniekórych.

DMUCHAWCE

Kiedy dojrzeją wiosną dmuchawce,
to i wiatr w polu ma się za zbawcę.

NIEBO I PIEKŁO

Niebo w gębie zawsze w cenie –
choćby piekło w podniebieniu.

MOJA ESTETYKA

Z estetyką jestem chyba na bakier –
ciągle nie mogę obejść się niesmakami.

WNĘTRZE

Dziwne bywa ludzkie wnętrze –
żółci, kwasów w nim najwięcej.

PIĘKNO

Piękno szlachetnych ludzi ocala,
lecz pożądanie budzi w brzydalach.

ELITY

Dziś elity jakieś dziwne –
wciąż z selekcji negatywnej.

O PRAWICY

I prawica ludzi złości,
gdy niedobór w niej prawości.

CO SIĘ LICZY?

Ludzkie wnętrze dzisiaj się nie liczy.
Może środek. A i to płatniczy.

O SPRAWIEDLIWOŚCI

Trudno jej czasem w praktyce szukać,
bo jest nie w zgodzie z prawem... kaduka.

O SZTUCE

Wielka sztuka też się czasem zdarzy,
choć legion miernot stoi wciąż na straży.

WITAJĄC DAME

Rączki całuję, bo nie wypada
damie do nówek zaraz przypadać.

W AFORYZMIE

Głębiej tu czasem widzi się inaczej –
jako drugie albo trzecie dno znaczeń.

NIEPOKORNY AFORYZM

Nie dla niego ograniczenia
do utartych reguł myślenia.

O TAKIEJ JEDNEJ

Wiedzą o niej sąsiedzi,
że lepiej leży niż siedzi.

POSTĘP

Wydłużą korytarz w urzędzie,
to i koryt przybędzie.

ODKRYWCA

Wielkie odkrycia już przy nim bledną,
bo on goliznę odkrył niejedną.

REGRES

Gdy komunę diabli wzięli,
do kapitalizmu żeśmy się cofnęli.

PODPATRZONE

Urody dodaje światu
motyl – anioł pośród kwiatów.

ZA NIEWINNOŚĆ

Za niewinność cierpieć trzeba
na brak siódmego nieba.

DO LITERATA

Wspomnij o tym przed pisaniem:
lotem bliżej niż pełzaniem.

POCIĄGAJĄCE

Pociągające te białogłowy,
co dobrze robią na pociąg płciowy.

HAPPY END

Szczęśliwy koniec wieńczy przygody,
dopóki heros jurny i młody.

PRZED WYBORAMI

Walka o władzę zasmuca niebo,
bo znów ją wygra jakiś Belzebub.

SIGNUM TEMPORIS

Cień człowieka w człowieku
w dwudziestym pierwszym wieku.

Z KROPKI

Czasem szukam sensu zdania,
a on z kropki się wyłania.

JĘZYK MOJEGO DZIECIŃSTWA (do 1947 r.)

Urodziłem się i wychowałem w polskiej rodzinie, posługującej się językiem polskim. Jaki to był język, spróbuję opowiedzieć, starając się przede wszystkim ukazać słownictwo mowy mieszkańców wsi. Muszę zacząć od informacji, że ojciec mój, tak jak znaczna część wsi, w latach 1915-1918 był z rodziną w Rosji, a matka pochodziła ze wsi Ruda, dokąd również sięgały wpływy języka białoruskiego.

Zebrany przeze mnie materiał językowy dotyczy aż 16 języków, które występowały w mowie Krypna w czasach mojego dzieciństwa. W mowie, a więc były to słowa, ale tu występują jako wyrazy. Języki te podzieliłem na języki tutejsze (polski i białoruski), języki zaborców (rosyjski i niemiecki) oraz języki – goście (łaciński, francuski, grecki, angielski, czeski, włoski, litewski, turecki, ukraiński, węgierski, hebrajski i hiszpański). Zapamiętane słowa starałem się rozmieścić zgodnie z tym, jak one występowały jedne po drugich, stosując przyjęte w Krypnie datowanie: za Polaka, za (tamtego) Sowietę, za Niemca i za tego Sowietę. Wiem, że nie zapamiętałem wszystkich słów swego dzieciństwa. I jeszcze jedna uwaga: czasami znaczenie wyrazu w Krypnie nie zgadza się ze znaczeniem słownikowym, np. grecka *cytra* oznacza instrument muzyczny, a w Krypnie nazywano tak uszczypliwie dziewczynę.

Język polski

Za Polaka były w Krypnie polskie nazwiska: *Brzostowski, Cybulko, Cylwik, Dąbrowski, Dobrzyński, Gawelko Gołębiowski, Grom, Józwicki, Kamieński, Karpiński, Klimowicz, Kobeszko, Kochański, Kościuk, Kowal, Kowalewski, Kozakiewicz, Kulesza, Kułaczewski, Kupiec, Laskowski, Lenczewski, Lewko, Olechno, Olkowski, Pac, Pietrzycki, Popławski, Purzecki, Roszkowski, Sienkiewicz, Smółko, Stankiewicz, Stawecki, Szymański, Torebko, Wiśniewski, Wojciechowski, Wojewódzki, Woroszyło, Wróblewski, Zajączkowski, Żółtkowski, Żukowski* oraz *Cyrankiewicz* i *Walentynowicz* (księża), *Rożnowski* (organista), *Siedlaczek* (kucharka na plebanii) i *Siwak* (nauczyciel). Za Sowietę zjawili się księża *Bakura* i *Cyganek*, nauczyciele *Roszkowski* i *Rynkiewicz* oraz filozof *Sobaniec*. Za Niemca we wsi mieszkaly nauczycielki *Galuch*, *Moniuszko*, *Owczarek* i *Zawadzka*. Po wojnie byli księża *Godlewski, Wysocki, Maliszewski* i *Brzozowski*, a w szkole pracowali nauczyciele *Kondrakiewicz* i *Borodziejewicz*.

Dalej przytaczam tylko te słowa, które dzisiaj są przeważnie przestarzałe i zapewne niezrozumiałe dla młodego pokolenia ludzi, nawet żyjących na wsi.

Za Polaka były to słowa nazywające ludzi: *rajko* = swat; *rataj* = oracz i *cholernik* – to było przekleństwo. Ze zwierząt był tylko *pisklak* = pisklę. Świata zwierząt dotyczył czasownik *złisić się* = wyrzec się gniazda, nawet z młodymi, gdy zachodziła obawa, że ktoś je odkrył, oraz *zołza* = 1. ropienie oczu u krów i 2. kłótniwa, dokuczliwa kobieta, jędza. Z nazw roślin kwiatowych wymieniam te stworzone przez wyobraźnię dziecięcą: *bolioczko* = jaskier; *ręczniczek Matki Boskiej* = rodzaj storczyka łąkowego i *smalinos* = lilia. W kuchni domu najważniejsza była *dzieża*, a były tam też: *kopańka* = podłużna niecka wydłubana z drewna; *duchówka* = piekarnik, *walek* (do ciasta); *kwacz* = szmat(k)a lub pakuły na kijku, służące do czyszczenia dna pieca chlebowego, a w kuźni do moczenia przedmiotów; ognisko w kuźni nazywało się *horno*. W kącie kuchni stał *chład* = kij, używany również jako postrach na rozbrykane dzieci, a przy miednicy do mycia się leżał *ściorek* = starty kawałek mydła zwykłego, bo toaletowego nie znano. Tu powstawały takie smakołyki, jak *gryczanik* = płaski cienki chlebek z mąki gryczanej; *kartoflak* = placek ziemniaczany; *babka ziemniaczana*; *psiuta* = chleb z bardzo białej mąki czy *bułka* – słodkie pieczywo z mąki pszennej. Do prania służyła blaszana *tara*, do wygładzania bielizny – *walek* i *walkownica*, a do prasowania – *żelazko* z *duszą*. W gospodarstwie były w użyciu: *ceber* = wiadro drewniane i *siekacz* = narzędzie do siekania paszy, wygięte esowato ostrze przymocowane na sztorc do kija. W niektórych obejściach był *świronek* = spichlerz, a na polu – *ugrzechy* = pojedyncze rządki, na przykład

ziemniaków, okopane lub obradłone. W użyciu były słowa: *cieciera* = bieda; *odliga* = odwilż; *skręt* = tytoń zawinięty w gazetę; *pastewnik* = pastwisko; *pogięta* = pogoda brzydka pod każdym względem i *pucka* = opuszka palca. *Klinkopka* była symboliczną kopką zboża pozostawianą w klinie (rogu) pola po ukończeniu żniwa, stworzoną przez źdźbła pozostawione w formie okręgu; w pustym środku była położona kromka chleba dla zajęczka, a źdźbła pod kłosami związane kolorową wstążką. *Opatry* należały do obyczajów weselnych; gdy rajko umówił dwie rodziny na małżeństwo młodych, rodzina narzeczonego jechała do narzeczonej, by obejrzyć jej posąg; zdarzało się, że narzeczone pokazywała dobytek pożyczony od sąsiadów. Do ciekawych czasowników należały: *obsmorgiwać* = obdzierać gałązkę z liści, zaciskając dłoń na jej czubku i pociągając drugą dłonią; *potoknąć*, *stoknąć* = oplukać, splukać; *stochtolić* = zmiąć i *rupieć* = gryźć, frasować, trapić; *ujęść się* = najeść się *do oporu* oraz przymiotniki: *łoński* = przeszłoroczny; *żerczy* = żarłoczny i *miescki* = miejski.

Kilka słów miało inne niż dzisiaj znaczenie: *babka* = babcia; *blacha* = pokrywa pieca kuchennego, blaty; *bułka* = białe słodkie pieczywo; *gościniec* = prezent z miasta, przeważnie bułeczka; *góra* = strych domu; *kruczek* = pogrzebacz i *panna* = narzeczone.

Za Sowietą poznałem takie drzewa, jak *brzost* = gatunek wiązu; *sochor* = sokora, topola czarna oraz *seklak* = szakłak, kruszyna, a poza tym takie słowa, jak *socha*; *sośnik* = lemiesz; *czepigi* = rączki pługa; *szterchać* = podskakiwać i stukać na wybojach (o kołach wozu), *położna* i *udać* = złożyć na kogoś donos.

Za Niemca słownictwo rozszerzyło się o słowa: *blachówka* = blaszane naczynie cylindryczne z pionową wąską szybką i kranikiem u dołu, służące do wydzielania śmietany z mleka; *iskanie* = szukanie wszy we włosach głowy; *lizawka* = mieszanka soli i innych składników, będąca dodatkiem do pasz; *choina* = świerk lub jodła; *orta* = ogrodzone pastwisko; *czerwonka*; *siarka*; *styga* = stos, w który luźno układało się np. *torf*, by szybko wysechł; *polepa* = podłoga gliniana w chacie, najniższa pośrodku izby, gdzie jest zbiornik na wodę; *zagumienie* = miejsce za gumnem; *zastodole* = miejsce za stodołą i *zeks* = czaty (gdy wchodziło się w szkodę, np. do cudzego sadu, ktoś zostawał na zeksa i w razie niebezpieczeństwa dawał umówiony znak) oraz słownictwo związane z wojną: *czołg*; *działo*; *lej*; *okop*; *schron* i okupacją: *uciekiniery* i *własowiec*. Osobne wyjaśnienie należy się dwóm zabawom wielkanocnym. Są to: *taczanki* – jeden uczestnik toczy jajko z pochyłości, a gdy się ono zatrzyma, toczy jajko drugi; jeśli drugie jajko uderzy pierwsze, oba zabiera drugi gracz, jeśli nie uderzy – oba zabiera pierwszy gracz; *wybitki* – dwaj uczestnicy stukają dziobkami jajek w dziobek jajka przeciwnika; kto zbije jajko przeciwnika, zabiera mu jajko. Piosenki śpiewane na Wielkanoc nazywają się *konopielki*.

Po wojnie na miejscu domu zastaliśmy *kukr(z)ysko* = pogorzelsko. Aby chlew zmienić w dom, potrzebne były *opoty (opół)* = deski z jednej strony równe, a z drugiej wypukłe. Matka gotowała *chały* (kulki) ziemniaczane, a zimą – *ślizgawkę*, tzn. przetarte ziemniaki lała na osoloną wodę i mieszała aż do zgęstnienia. Na blatach piekła *osuchy* = placki z mąki, mleka i soli. Gdy cielila się krowa, doila trochę *siary* i piekła *siarniki*. Na łąkach rosły *cienkonózki*, czyli *wysrajki* = rodzaj drobnego jadalnego grzyba, wyrastającego w miejscach użyźnionych przez bydło.

Nas interesowały *automaciuki* = naboje do pepeszy zwane *fasolką*; pociski do moździerza (nazywane *rybkami* ze względu na kształt); pociski przeciwlotnicze; *piechotka* = strzelanie z naboju karabinowego; *podsmal* = prymitywna strzelba lub pistolet, i *czcionki*, kawałkami których nabijaliśmy *podsmalały*. Zimą czas wolny spędzaliśmy przeważnie na stawie na granicy Krypna Kościelnego i Wielkiego i na Piekielku, a na ługu za cmentarzem urządzaliśmy *kręciolkę*.

W języku dzieciństwa były nie tylko pojedyncze słowa, ale i zdania, np. wyliczanki: *Toczyła się torba / Z wysokiego horba, / A w tej torbie chleb, pszenica, / S kiem ty chcesz, z tiem podielisia; Przyszedł krawiec do krawieca / I nakręcił koło pieca. / Przyszedł Fryc, palcem tyc! / I oblizał – nie ma nic! czy Ele mele dudki, / Gospodarz malutki, / Gospodyni mniejsza, / Ale rozumniejsza. Czasami zdarzały się nam tzw. połajanki, polegające na tym, że jeżeli komuś nie podobało się coś, co powiedział kolega, mówiło się np.: *Ni do składu, ni do ładu, pocatuj kobyłę z zadu*, na co można było odpowiedzieć: *Ni do składu, ni do sensu, wyjedz gównno spod kredensu*; albo *Całuj kota w nos, tam gdzie ogon ros (róśl) lub Ja cie kręce w obie ręce*. A gdy ktoś chciał zaznaczyć, że usłyszane rzeczy uważa za kompletną bzdurę, mówił: *Srał, pierdział, gryzł wodę, miał w dupie przegrodę*. Chodziło tu o wyliczenie niemożliwości. Gdy się chciało komuś dopiec,*

mówiło się: *Kierownik grupy, / Co wyciska gówno z dupy*. Na pytanie *Kiedy?* można było odpowiedzieć: *Kiedy będą w dupie szwedy* (skwarki). Najdrastyczniejszych *odzywek* nie cytuję. Były też wierszyki humorystyczne: *A żeby cię diabli wzięli, / Co ty dla mnie zrobił w sieni. / Ja myślała, że to glina, / Oblepiła pół komina!*; czy wreszcie *To prawdziwy uchariec: / Narznął w portki, rzucił w piec!*

Próbowaliśmy stworzyć tajny, tylko dla nas zrozumiały, język. Polegało to na wstawianiu po każdej sylabie jakiejś innej stałej cząstki, np.: *Ka-co-ka-ty-ka-ro-ka-bisz?* albo *Kana-co-kana-ty-kana-ro-kana-bisz?*

Dorośli, zwłaszcza kobiety, mieli swoje powiedzonka, rymowanki, a nawet piosenki, dotyczące różnych miejscowości w bliższej lub dalszej okolicy, np.: *W imię Ojca i Syna, / Szła baba z Knyszyna / A chłop z Przytulanki, / Wziął babę na sanki. / Sanki się wywróciły / I babę zabiły*. Gdy ktoś uważał, że opowiadają mu bajki, mówił: *Pójdę w świat za Chraboły*. Mówiono też, że w *Chrabołach* niebo styka się z ziemią, więc *praczki kijanki za obłoki chowają*. Były też inne miejscowości, np. w piosence: *Jak zajechał do Przytulic, / Jedna chata, siedem ulic. / Jak zajechał do Krynicy, / Wsio ulicy, wsio ulicy*. Było przysłowie: *Rekli – Bóg i diabeł się wyrekli*. I inne: *Taki szanc to na Piaskach*. Było powiedzenie: *Gap z Pogorzalk* (o jakimś bardzo wysokim mężczyźnie). Mieszkańców Długołęki nazywano *pytarami*. Oprócz przysłowia o *Będzie – Idź ty tędy, a ja tędy, spotkamy się koło Będy* pamiętam jeszcze dwa: *Za mojem dobrem bytem cieciera siedzi pod korytem* i *Organista, dziad kościelny – jeden prośny, drugi cielny*, co znaczyło, że dobrze wyglądają, bo zawsze mają co jeść.

Z *konopielek* śpiewanych na Wielkanoc pamiętam (nie gwarantuję, że dokładnie) piosenkę poświęconą pannie na wydaniu:

Oj cienka, cienka w lenku konopielka, / Oj jeszcze cieńsza u ojca córeńka, / U ojca córeńka, jak na cztery stoły, / A po tych stołach pawenki chodziły, / Pawenki chodziły, pióreczka gubiły, / A z tych pióreczek złocisty kubeczek. / Pierwszy kubeczek – ojcu-matce daci, / Drugi kubeczek – miód, wino pijaci, / Trzeci kubeczek – do ślubu jechaci! / A ty, np. Aniu, bądź wesola, / Weź kluczyki, skocz do stoła, / A od stoła do komory, / Przynieś dla nas bochen chleba, / A do tego siem par pisek, / Siem par pisek na półmisk, / Kielbasoju okrużywszy, / Białym serem zawierszywszy!

Dla gospodarza śpiewano:

A czy w domu pan gospodarz? / Siedzi sobie na rozstołach, / Siedzi, siedzi, listy pisze, / Listy pisze, rozsyłaje, / Synom po trzy koni daje, / Sam na czwartym wyjeżdżaje. / I wyjechał w czyste pole, / W czystym polu rataj orze, / Bóg dopomóż, rataiku, / Bóg zapłać, gospodarzyku!

Być może dalszym ciągiem tej piosenki jest fragment o kowalu:

U tur-jelenia dziesięć rogi, / Na dziesiątym kuźnia stoi, / A w tej kuźni kowal kuje, / Kuje, kuje, nie przestaje, / Nigdy ognia nie zgaszaje!

To są teksty podstawowe, a śpiewa się je np. tak:

Oj cienka, cienka w lenku Konopielka, hej ło-ło! W lenku Konopielka.

Oj jeszcze cieńsza u ojca córeńka, hej ło-ło! U ojca córeńka.

Podejrzewam, że Hej, ło-ło! powinno brzmieć Hej, Łado!

Po wojnie ukazała się przepowiednia: *Byliśmy pod PRUSAMI, / jesteśmy pod RUSAMI, / będziemy pod USAMI, / a potem będziemy SAMI.*

I był taki wierszyk: *Wczoraj kasza, / Dzisiaj kluski, / Polska nasza, / A rząd ruski.*

Śpiewaliśmy też piosenkę z 1920 r.: *Hej, tam nad Wisłą z naszych kościołów / Zrobił bolszewik stajnie dla wołów. / Chociaż nasza wiara święta, / Nigdy o tym nie pamięta. / Bagnet na broń! / Bolszewika goń!*

Była też inna piosenka: *Jeszcze Polska nie zginęła, / Ale zginąć musi, / Bo Stalina sukinsyna / Cholera nie dusi*. I jeszcze jedna: *Kacpom zdaje się, / Że są w Ameryce, / Lecz gdy powstanie lud, / To pójdą wszyscy na moskiewski głód.*

Język białoruski

Do niedawna byłem przekonany, że wpływy języka białoruskiego w Krypnie ograniczają się do nazwy pola *Hrudki* i nazwy latającego nad nimi *knihuta*, czyli czajki. Matka co prawda mówiła *jon, joni* zamiast *on, oni*, ale nikt tego nie zauważał ani się nie dziwił. Kiedy jednak zacząłem przyglądać się bliżej słowom zapamiętanym z dzieciństwa, okazało się, że słów białoruskich jest

wśród nich dosyć dużo. Poza tym zdaje się, że język białoruski na tym terenie jest równie dawno jak język polski. I że cały zasób słownictwa białoruskiego istniał tu już przed wojną. Składam podziękowanie białostockiemu przyjacielowi, Wiktorowi Szwedowi, za nieocenioną pomoc w pisaniu tego rozdziału.

Jeżeli chodzi o nazwiska, to białoruskie jest *Safiejko*, a *Bałdyga* i *Ostapowicz* (służąca na plebanii) przypominają ten język.

Hrudki = Grudki – nazwa pola za Krypnem Kościelnym, po prawej stronie drogi do Rudy, a przed starym korytem Jaskranki; tu wydobywano rudę darniową, którą w XVIII w. wytapiano w Rudzie. *Knihut* ma nazwę dźwiękonaśladowczą, bo wydaje dźwięk kni-hut! Jest jeszcze jeden ptak: *szulak* = jastrząb, i owad: *kuzaka* = żuk, chrząszcz oraz nazwa rośliny: *kozodra* = zawilec. Nazwy ludzi mamy w słowach: *bajstruk* = dziecko nieślubne; *fibrant* = nienawistnik; *pepla* = brudna, zła kucharka i *wołokacz* = ktoś, kto zbiera jajka, śpiewając na Wielkanoc tak zwane konopielki. Z rzeczy materialnych jest *światolka* = izba paradna; *cacka* (r.ż.); *cihunka* = piecyk żeliwny; *duha* = kabłak drewniany do przywiązywania gązew chomąta do *hołobli*, czyli dwóch dyszli, między które wprzęga się konia; *nabiedryki* = część uprzęży, pasy na biodrach konia; *dziaha* = pasek; *paranica* = ziemniaki parzone na paszę; *tolkanica* = ziemniaki tłuczone; *horb* = wzgórze; *kałdoba* = wybój; *kruśnia* = usypisko kamieni lub tłucznia w kształcie otrosłupa o podstawie prostokątnej (= przyzma?); *małanka* = błyskawica, a poza tym *burchiel* = pęcherz, na przykład po oparzeniu; *hikawka* = czkawka; *odwiedki* = odwiedziny u położnicy i *wołoczebne* = obdarowywanie jajkami wielkanocnymi chrześniaków przez ojców chrzestnych. Są nazwy czynności: *bzdyczyć się* = stroić fochy; *dziażyć* = bić paskiem; *hełtać* = pocierać w celu wygładzenia; *herkać* = mówić niewyraźnie, nadużywając spółgłosek *h* i *r*, z powodu braku podniebienia; *hikać* – czkać; *kulhać* = kuleć; *pałygować* = jeść, szybko połykając; *trynić się* = wciskać się i *(za)pynić* = (za)pędzić. Cztery słowa nazywają cechy: *hadki* = brzydki, wstrętny; *herkawy* = odznaczający się herkaniem; *posłuchmianny* = posłuszny; *rochmanny* = spokojny, łagodny; jedno – sposób: *chutko* = szybko.

Język rosyjski

We wsi, pamiętającej panowanie rosyjskie do sierpnia 1915 r., starsi mieszkańcy język rosyjski znali i posługiwali się nim na co dzień. W chwili wybuchu wojny w Krypnie było nazwisko *Kuzniecowa* i przyzwiska: *Borodacz*, *Diot'ka*, *Machora* i *Olesiok*, a *Ruski* oznaczał Rosjanina. Nazwami ludzi są słowa: *bieżeniec* = uchodźca; *bliad'*; *bolszewik*; *durak* = dureń, głupi; *lejtienant* = porucznik, *matuszka*; *mołodiec* = zuch, chwata, junak; *mołoducha* = świeża mężatka; *murza* = brudas; *soldat* = żołnierz; *swołocz* = łajdak, szuja, kanalia i *uchariet* = zuch, chwata, junak. Brak słów na oznaczenie zwierząt, z wyjątkiem *sobaki*, a z produktów odzwierzęcych jest tylko *sało* = słonina, łój, sadło. Jest kilka nazw roślin: *chwoščzka* = skrzyp polny; *ług* = podmokła łąka i *oskoła* = sok brzoźowy, oraz produktów roślinnych: *machorka* = gorszy gatunek tytoniu i *koreszki* = pocięte na drobno łądygi tytoniu. Z rzeczy materialnych mamy: *bezmian* = prosta waga bezszalkowa; *dieńgi* = pieniądze; *rubel*; *kopiejka*; *drebiezgi* = drobne kawałki; *fonar* = 1. gospodarcza lampa naftowa i 2. siniak; *harmoszka* = harmonia; *masłobojka* = maślnica, maselnica; *oskołek* = odłamek; *proboj* = skobel(ek); *rečka* = rzodkiewka; *samogon* = bimber; *siny kamień* = siarczan miedzi; *skowroda* = patelnia, *treszczotka* = terkotka; *wintowka* = karabin; *szompal* = wycior; *gilza* (z niem.) = łuska naboju; *relsa* = szyna kolejowa; *szpala* = podkład kolejowy; *wodokaczka* = pompa wodna, a poza tym – *bolaczka* = bolączka, bolak; *chabora* = łapówka; *gubernia*; *ujezd* = powiat; *otkos* = skarpa drogi; *Sybir/Syber* = Syberia; *łłoka* = wspólna praca mieszkańców wsi; *zagowki* = koniec karnawału i *zakurka* = tytoń na jednego papierosa. Czasowniki: *dośpiewać* = dojrzewać; *odgowieć* = odmilknąć (o dzwonach); *podiwanić* = ukraść; *podtibrít'* = ściągnąć, zwędzić, buchnąć; *oszparyć* = oparzyć, naciąć, oszukać; *rugać* = wymyślać, lżyć, łajać, sztorcować; *trenożyć* = pętać zwierzę, łącząc jego przednie nogi, a następnie pęto z uzdą; *zagowieć* = zamilknąć (o dzwonach); *chreści* = trefle; *bubny* = karo; *zapluszczyć* = zamknąć (oczy). Przymiotniki: *krypniański*; *raby* = dziobaty, pstrokaty; *ruski* = rosyjski; *usadny* = uparty; *niegramotny* = niepiśmienny i zaimek *wsio* = wszystko.

Za Sowietą pojawiły się nazwiska *Pietrow* i *Sołonowicz* oraz przyzwiska *Bolkin*, *Chapun* i *Dadim*, a każdy wiedział, kto to jest *Stalin*; *Sowiet* oznaczał obywatela Związku Radzieckiego.

Pojawiły się nowe słowa oznaczające ludzi: *biedniak* = chłop małorolny; *bojec* = żołnierz, szeregowiec; *chapun* = łapownik, złodziej; *deputat* = delegat; *krasnoarmiejec* = czerwonarmista; *kułak* = bogaty gospodarz; *enkawudzista* = pracownik NKWD; *politruk* = oficer polityczny; *priedsiedatiel* = przewodniczący, a poza tym: *oblast'* = obwód administracyjny; *rajon* = powiat; *kołchoz*; *trudodien* = dzień pracy, dniówka; *sojuz* = związek; *sowiecki* = radziecki; *sowiet* = rada; *sielsowiet* = rada wiejska; *Komsomol* = Komunistyczny Związek Młodzieży; *NKWD* = Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych; *nagan* = typ rewolweru; *płuszczadka* = lotnisko prowizoryczne; *tankietka* = czołg lekki; *tiepłuszka* = wagon towarowy z piecykiem do wywożenia ludzi; *czastuszka* = wesoła, humorystyczna czy satyryczna krótka piosenka; *czerwoniec* = czerwony banknot 10-rublowy; *pokupat'* = kupować i *rozkułaczyć* = wywłaszczyć kułaka.

Za Niemca pojawiło się sporo nazwisk i imion rosyjskich: *Lutostanskij*, *Miroszkin*, *Iwanow*, *Liebidiew*, *Własow*, *Kola*, *Wala* i *Wowka*.

Po wojnie ze słów rosyjskich przybyły chyba tylko *katusza* i *fufajka* = waciak.

Język rosyjski jest jedynym z języków niepolskich, reprezentowanym nie tylko przez pojedyncze wyrazy, ale również zestawienia, np. *car-batiuszka*, *matuszka-Rossija*, *pistolet-pulemiot*, *plaszcz-palatka*; wyrażenia, na przykład *raboczyj narod*, *Rossijskaja Impieria*; *sukin syn*, *wychodnoj dien*; zwroty, na przykład *duraka walat'*, *razbit'* w *drebiezgi*; zdania, na przykład *job twoju mat'*, *orły letiat* (podpis w sowieckiej gazecie pod zdjęciem orłów odbijanych z gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku), najstraszniejszy rozkaz za okupacji sowieckiej *sobirajties!*; *kniżki pisali*; zdania złożone, na przykład *s kiem ty chcesz, z tiem podielisia* (z wyliczanki dziecięcej), *staroje razruszym, nowoje postroim*; wiersz *Ech, Rossija, storona, / Czudiesa Jewropy! / Spirt tam goniat iz gowna, / Priamo w rot iż żopy*, a nawet piosenki, np. *Rassija, Rassija, kak tiebia zwat'?* / *Pa ruski?, pa polski? Da job twoju mat'!*; albo *Po dolinam i po wzgorjam / Szła diwizija wpieriod, / Czto by w bojach wziat' Primorje, / Biełoj armii opłot* (ta ostatnia znana tylko przeze mnie) czy przekleństwa, np. *rugat'* = wymyślać, łżyć, łajać, sztorcować, *bliad' samarskaja*, *chapun* = łapownik, złodziej, *durak* = dureń, *sukin syn* = suczy syn oraz *swołocz* = łajdak, szuja, kanalia.

Poza tym język rosyjski wywarł wpływ na język polski nie tylko poprzez *ozdobienie* go rusycyzmami, ale powodując tak zwane *trebaczenie*, tzn. wymowę *r* zamiast *rz*, na przykład w wyrazach *treba*, *breg*, *drewo*, *grech*, *kukrysko*, *repa*, *taler*, *umreć*, *wierbny*, *wyrec się*, *Wawryn*, *Andrejewski*, *Dobryński* czy *Pietrycki*; poza tym wymowę *o* zamiast *ó*, np. *gora*, *goral*, *gowno*, *row*, *rowny* czy *rownianka*; wymowę w wygłosie *i* zamiast miękkiego *e*, np. *grabi*, *hołobli*, *karasi*, *koni*, *konopi*, *krokwi*, *plomieni*, *promieni*, *Rekli*, *sani* czy *żerdzi* zamiast *grabie*, *hołoble*, *Rekle*, *sanie* itd., i wymowę wygłosowego *chi* zamiast *chy*, np. *grechi*, *miechi*, *orechi*, *streichi* czy *wiechi*. Rosyjska też była odmiana czasowników czasu przeszłego, np. *ja robił(a)*, *ty robił(a)*, *on(a) robił(a)*, *my robili*, *wy robili*, *oni robili* (dla wszystkich rodzajów). Czasownik *być* w czasie teraźniejszym miał tylko liczbę pojedynczą. Mówiło się na przykład: *ojciec jest*, *matka jest*, *dziecko jest*, *ojcowie jest*, *matki jest* i *dzieci jest*.

Język niemiecki

Niemcy rządili na tej ziemi w latach 1795-1807, od sierpnia r. 1915 chyba do końca 1918 r. i od czerwca 1941 r. do sierpnia 1944 r., nie licząc kilku dni we wrześniu 1939 r.

W chwili wybuchu II wojny światowej w Krypnie mieszkała niemiecka rodzina rzeźnika *Bergera*, a Michał Stawecki miał przezwisko *Himburg*. Słowo *Fryc* oznaczało Niemca.

Wiele wyrazów pochodzenia niemieckiego dotyczyło gospodarstwa domowego: *brytfanna* = podłużne naczynie metalowe z pokrywką do pieczenia mięsa; *chochla* = łyżka wazowa; *durszlak* = cedzak; *fajerka* = krążek żeliwny zamykający otwór w płycie kuchennej; *lufcik* = małe okienko w oknie do wietrzenia pomieszczenia; *luft* = przewód kominowy; *szlaban* = skrzynia drewniana, służąca w nocy do spania; *szyber* = zasuwa do przemykania przewodu kominowego, a poza tym – *klektać* = deptać i brudzić; *lak* = coś bardzo słonego; *leberka* = wątrobianka, pasztetowa. W gospodarstwie był *szaflik* = duże naczynie drewniane z uchwytemi, a koło uli rósł *cytwar* = wrotycz.

Sporo niemieczyzny było w kuźni. Ojciec uczył się kowalstwa u Żyda w Knyszynie, potem u Niemca *Wilhelma Kühna* w majątku Knyszyn, a wreszcie u *Stefana Brzostowskiego* w Krypnie.

Żyd i Niemiec nauczyli go nazewnictwa niemieckiego, a Brzostowski – polskiego. Ojciec swoim uczniom przekazywał nazewnictwo polskie, chociaż i niemieckie było zrozumiałe. Ojciec, jak każdy rzemieślnik, był *majstrem* = mistrzem. Znane też było zdrobnienie: *majsterek*. Słowa *cyna*, *gwint*, *hart* i *śruba* (z pochodnymi) były dawno przyswojone i nie miały odpowiedników polskich. Miały je: *bor* = wiertło; *bormaszyna* = wiertarka; *dornik* = przebijak; *glanpapier* (właściwie *glaspapier*) = papier ścierny; *gzyborować* = powiększać otwór, rozwiercać; *(h)ufnal* = podkowiak; *lutkolba* = lutownica; *mesel* = przecinak; *mutra* = nakrętka, *(ob)cęgi* = kleszcze; *raszpla* = gładzik; *szprycha* = element łączący piastę koła z obręczą; *sztamajza* = duży przecinak z drewnianym uchwytem; *szwejsować* = spawać i *śrubsztak* = imadło. Przypominam też słowo *ferszmida*, ale nie wiem, co ono znaczy.

Były też niemieckie nazwy innych narzędzi: *hebel* = strug; spolszczona *kielnia*; *krajzega* = piła tarczowa; *laubzega* = łobzik, wążutka piłka do precyzyjnego wycinania; *waserwaga* = poziomica oraz *holcśruba* = śruba wkręcana w drewno; *cyferblat* = tarcza zegara i *werk* = mechanizm. Wszyscy lubili słowo *fajrant* = koniec pracy.

Poza tym w użyciu było sporo innych słów pochodzenia niemieckiego: *ablegier* = z przekąsem o kawalerze; *absztyfikant* = starający się, wielbiciel, kawaler; *legar* = 1. belka, na której układa się deski podłogi i 2. ktoś lubiący się wylegiwać; *rajzer* = ktoś, kto się włóczy; *szwagier* = mąż siostry; *gmina*; *marka*; *fenig*; *hełm*; *menażka* (z fr.) = naczynie metalowe zastępujące żołnierzowi talerze; *kałdun* (ze śrdwłc.) = brzuch; *komiśniak* = ciemny razowy chleb żołnierski; *pasztet*, *pasztetowa*, *pasztetówka*; *kooperatywa* (z łac.) = spółdzielnia; *ruszt* = strych na budynkach gospodarczych; *rajza* = włóczęga; *oszwabić* = oszukać; *szanc* = okazja; *szwan* = blizna; *szwanc* = ogon, u nas wyzwisko i *wichajster* = przedmiot o niedokładnym znaczeniu.

Za Sowietą politrukiem był knyszyński Żyd o niemieckim nazwisku *Nikiel* i pojawiły się słowa *felczer* i *szarwark* = obowiązek dostarczania ludzi i sprzężaju do robót publicznych.

Gdy Niemcy wkroczyli do Krypna w 1941 r., poznaliśmy nowe nazwiska: *Busch* (amtskomisarz), *Koch* i *Meister* (żandarmi) i *Guber* (policjant); naturalnie, wszyscy wiedzieli, kto to jest *Hitler*, a zamiast Niemiec zaczęto używać pogardliwych nazw *Szkop* i *Szwab*.

Za Niemca weszły do obiegu takie wyrazy, jak *amtskomisarz* = urzędujący komisarz; *amtskomisariat* = urząd komisarza; *bezirk* = obwód, okręg administracyjny; *gestapo* = tajna policja państwowa; *szpicel* = tajniak, donosiciel, wywiadowca; *kregier* (właściwie *treger*) = belka nośna; *pancerka* = samochód pancerny; *haubica* (ze st.-cz.) = działo z krótką lufą; *moździerz* (z łac.) = działo z krótką gładką lufą; *rakieta*; *pancerfaust* = pancernica ręczna; *urlaubcug* = pociąg urlopowy; *Wermacht* = armia III Rzeszy. Ludność była zmuszona używać do prania *ługu*, czyli wody z wygotowanym i odcodzonym popiołem drzewnym czy *szwajki* = dużego szydła do cichego uboju, a raczej zakłuwania zwierząt. Kwitł *szmugiel* = nielegalne przewożenie towaru, przeważnie *szpeku* = słoniny, przez *s(z)pekulantów* (z łac.) = nielegalnych handlarzy żywnością. Prawdopodobnie z niemieckiego pochodzi wyraz *manierka* = metalowa lub szklana fłaszka żołnierska. Ja stworzyłem „niemieckie” słowo *fintikluszka* na oznaczenie czegoś zupełnie nieokreślonego.

Po froncie poznałem u Zajączkowskich jeszcze dwa niemieckie nazwiska: *Haberbusch* i *Schele*, widniejące na podkładkach pod piwo – *Zając* kazał mi je przeczytać, a gdy to zrobiłem, dodał do rymu: *Pocałuj w dupę i tele!*

Po wojnie najmodniejszym niemieckim wyrazem był *szaber* (i *szabrownik*) = rabunek mienia opuszczonego, a najczęstszym jego plonem – *centryfuga* (z łac.) = wirówka do wydzielania śmietany z mleka. Poza tym wyplęnęło słowo *bauer* = gospodarz, chłop.

Inne języki

Spośród słów zapożyczonych z **języka łacińskiego** za Polaka używano tych związanych z Kościołem: *cmentarz* (z gr.); *msza* (śrdw.); *ołtarz*; *ministrant*; *konfesjonał* (śrdw.-łac.); *sygnaturka* (śrdw.-łac.); *ornat*; *stula*; *zakrystia* i *zakrystian* = kościelny; *sakrament*; *komunia*; *rezurekcja*; *plebania* (śrdw.); *klasztorek*; *tercjarka*; *prefekt* = duchowny, pomocnik proboszcza i *wigilia*, oraz *lokomotywa*; używany do lutowania *salmiak* = chlorek amonu; *rewolucja*; *kontyngent*; *materia* = ropa z ran, wrzodów itd. oraz nazwy egzotycznego drzewa *morwa*, która zamykała ogród Klimowiczów od zachodu. Drugie drzewo egzotyczne rosło (i rośnie) na placu kościelnym od

strony cmentarza, ale nikt nie wiedział, że to *sumak*. Za Sowietą doszły: *milicja*, *okupacja*, *komisarz* (śrdw.), *referendum* i *tyfus* (n.-łac.), a za Niemca – *amunicja* (śrdw.); *armata* = działo o długiej lufie; *ewakuacja*; *front*; *parabellum* = pistolet niemiecki, którego nazwa znaczy *przygotowuj wojnę* i *dezynfekcja*; zaś po wojnie – *duraluminium* = twarde aluminium i *kompozycja* = stop.

Ze słów pochodzących z **języka francuskiego** przed wojną były znane: *sutanna* (z wł.); *mobilizacja* (z łac.); *pistolet*; *wagon* (z ang.); *żyrandol* (z wł.); *kredens* (z wł.) i *kajet* = zeszyt; za Sowietą *dezertor*; *patron* (z łac.) = nabój i *dentysta*; za Niemca – *żandarm* i *żandarmeria*; *plantować* = wyrównywać teren; *wagonetka*; *artyleria*; *bomba*; *dywersant*; *lorne(t)ka*; *mina*; *transzeja* = rów ciągły z urządzeniami obronnymi; *tyraliera* = rozproszony szyk piechoty i *brylant*, a po wojnie – *bateria* (elektryczna).

Język grecki do wojny pożyczył nam słowa: *organy*; *organista*; *parafia*; *ambona*; *fotografia*; *cytra* = 1. strunowy instrument muzyczny, 2. z przekąsem o dziewczynie, *mankolia* (właściwie *melancholia*) = ogłupienie, szaleństwo i *mankolik*; *nafta* (z pers.) i *semafor*; za Sowietą – *kino*; *agronom*; *dyzenteria*; za Niemca *dynamit*; *pryzma* = usypisko lub stos w kształcie ostrosłupa ściętego o podstawie prostokątnej; *kryształ* i po wojnie – *tuja* = żywotnik.

Język angielski pożyczył nam: *klomb* i *rewolwer*; za Sowietą *film* i *klub*; za Niemca – *flara* = świeca rozbłyskowa zrzucona na spadochronie i *srapnel* = artyleryjski pocisk rozpryskowy oraz po wojnie: *UNRRA* = United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy – nazywana Urzędem Narodowym Rozdania Resztek Amerykańskich. UNRRA dawała rolnikom ogromne konie amerykańskie, a szkołom – przybory szkolne i odzież, a także pomagała powracającym ze Związku Radzieckiego.

Z **języka czeskiego** pochodzą pożyczki przedwojenne: *kaplica* (z śrdw.-łac.); *proboszcz* (z łac.); *komża* (ze śrdw.-łac.); *hacel/ocel* (z łac.) = hak w podkowie i powojenna *rusznica* (ručnice) = ręczna długa broń palna (XV-XVII w.), od wojny – ręczna broń przeciwpancerna kaliber 13,25-14,5 mm.

Z **języka włoskiego** mamy 4 słowa: dowojenne *kawaler* = mężczyzna dorosły, ale niezonały i *salceson* oraz wojenne *kontrabanda* i *granat* (z łac.) ręczny, artyleryjski, moździerzowy i nasadkowy.

Z **języka hebrajskiego** zapamiętałem dwa słowa: *bachor* = 1. nieślubne dziecko i 2. nieznośne, dokuczliwe dziecko oraz *szpurc* = kilkuletnie dziecko.

Z **języka ukraińskiego** pochodzą słowa: *hultaj* = leń, próżniak i *czeremcha*.

Przed wojną **język litewski** był reprezentowany przez słowo *kindziuk* = żołądek; **język turecki** – przez *sagan* = gar żelazny lub miedziany i **język węgierski** – przez *kordzik* (kard, z pers. *kärd* = nóż) = krótki miecz.

Po wojnie **język hiszpański** dorzucił słowo *platyna* (śrdw.).

Cztery słowa są (przynajmniej dla mnie) *beżpaństwowcami*, bo nie znalazłem języka, z którego pochodzą. Są to: *fetniak* i *holiber*, pełniące tę samą rolę co *ablegier* – kaśliwej nazwy kawalera, oraz *bibułka* do robienia papierosów *solali*, co, według reklamy, *sama kręci i pali*; prawdopodobnie jest to nazwa firmy. To samo dotyczy *rivanolu*.

I tak doszliśmy do końca przeglądu składników językowych mowy mojego dzieciństwa. Znaleźliśmy aż 16 języków. Toż to ogromna większość Europy, a mówiąc żartem, taka językowa Unia Europejska w jednej wsi!

Wiesław Sienkiewicz

JANECZKA

Janina Nożownik uczyła się w szkołach średnich – w piotrkowskim II LO, Szkole Leśnej w Cieszynie i LO we Wrocławiu, gdzie zdała maturę. Była absolwentką Studium Nauczycielskiego w Piotrkowie. Swoje życie zawodowe wiodła jako nauczycielka języka polskiego, nauczania początkowego i bibliotekarka w Szkole Podstawowej nr 9, a następnie w Szkole Podstawowej nr 16 w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie zarażając pasją poznawczą i czytelniczą, przyczyniła się do rozkwitu szkolnej biblioteki.

Była członkiem piotrkowskich grup literackich Pomosty i Abaton. Od marca 2006 roku pełniła funkcję wiceprezesa Nauczycielskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego NASTOK w Piotrkowie. Aktywnie uczestniczyła w zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku na Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Kochanowskiego w Kielcach – filia w Piotrkowie.

Pisała wiersze, fraszki, opowiadania. Publikowała je w czasopismach literackich, w prasie regionalnej, na portalu internetowym „Salon literacki”, w almanachu grupy Abaton „W labiryncie drogowskazów” (2006). Wydała tom wierszy „Konsygnacja marzeń” (2010) oraz zbiór opowiadań „Sekundy pod księżycem” (2011), obie książki pod redakcją Rafała Orlewskiego. Ponad 20 wierszy w zbiorze „Konsygnacja marzeń” to wyróżnienia i nagrody przyznane w ogólnopolskich konkursach literackich. Zdobywała też nagrody i wyróżnienia w konkursie na „Fraszke Trybunalską”. Czterokrotnie uzyskała wyróżnienie specjalne za wiersz o Piotrkowie w konkursie literackim „Rubinowej Hortensji”.

Bardzo ważna dla Niej okazała się II nagroda w konkursie poetyckim Wydziału Teologii Uniwersytetu Śląskiego pod hasłem „Dobrze widzi się tylko sercem” – za kontynuację dzieła ks. Jana Twardowskiego (2010). Zasiadała także w jury lokalnych konkursów literackich, na przykład dla młodzieży szkolnej. Swoje wiersze i opowiadania ilustrowała autorskimi kolażami. Uczestniczyła w plenerach literackich, owocem których były zawsze nowe utwory. Od grudnia 2005 r. prowadziła dziennik spotkań grup literackich w piotrkowskim MOK.

Janeczka cieszyła się przebywaniem i przeżywaniem z ludźmi. Emanowała niezwykłym spokojem i ciepłem. Wysyłała nadzwyczajną energię przyciągającą ludzi. Cieszyła się zawsze z ich sukcesów. Dawała przyzwolenie na odmiennosc, indywidualność i obronę własnego zdania ludzi. Nie lubiła, wręcz uciekała od nakazów, zakazów, szablonów i sztywnych ram egzystencji.

Do nazwania siebie poetką potrzebowała wiele czasu. Jak już przyjęła, że tak ma być – twierdziła, że poeta to ktoś, kto w zwykłych rzeczach potrafi dostrzec jakąś niezwykłość i potem ją zapisać. Pisała: *Jak pięknie różni się ludzkie myślenie! Jak bardzo inny może być odbiór czyjejs myśli – wrażenia – odczucia!* Mówiła: *Być może, po to się urodziłam, żeby pisać. Wolność, jakiej szukałam, od kiedy zaczęłam rozmyślać o sensie mojego tu i teraz, znalazłam w pisaniu. A może to tylko ucieczka?*

Lubiła wieloznaczność w wierszach. Pozostawiała niedosyt, który sprawiał, że chciało się i chce do tych wierszy wracać. O swej historii pisania wierszy opowiadała na spotkaniu promującym tomik „Konsygnacja marzeń” w czerwcu 2010 roku, w piotrkowskiej Galerii Ośrodka Działań Artystycznych (ODA). Mówiła, że wiersz zostawiony w szufladzie jest tylko półwierszem. Nabiera pełni dopiero wtedy, kiedy spotyka się z czytelnikiem, choć takie spotkanie jest trudniejsze niż napisanie wiersza. Daje uczucie obnażenia.

Etapu szufladowego nie miała. Zrazu pisała teksty i natychmiast je niszczyła jako nieudane. Pojawienie się choroby i związane z nią silne emocje spowodowały, że napisała wiersz bez tytułu (inc. *Znów spędzimy sylwestra / we dwoje / ja i rak*), po czym napisała na tej samej kartce: *Już nigdy nie zniszczysz, nie podrzesz żadnego swojego wiersza*. Ręcznie przepisany, pierwszy niezniszczony utwór wysłała na turniej-memoriał „Kobieta” w Tomaszowie Mazowieckim. Otrzymała wyróżnienie. Pojawiło się poczucie wartości i sensu pisania.

Twierdziła: *Ludzie mi pomogli. Ja... tylko napisałam i dałam ilustracje. Jestem szczęściarą – będąc wśród ludzi, którzy potrafią tyle pomóc.* Czuła potrzebę zatrzymania chwili nie tylko słowem. Lubiła bawić się kolorami, kształtami, fakturami. Stąd kolaże, które doczekały się wystaw w piotrkowskim MOK, Gminnej Bibliotece Publicznej w Śliwicach i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tucholi. Powtarzała, że kolaże to wstęp do malowania obrazów. Niektórzy mówili, że nie musi malować, bo maluje słowem. Z uporem poznawała tajniki obsługi komputera, bo to jej ułatwiało kontakt z ludźmi.

Janeczka była i jest mi bardzo bliska, szczególnie za sprawą ostatnich tygodni, które przy niej spędziłam. Przychodziłam, wspomagałam... Patrzyłam, jak Janeczki każdego dnia mniej. Przychodziłam zawsze z kwiatem, rośliną inną niż wszystkie, a Ona czarowała tak, że stały w wazonie nieporównanie dłużej niż inne kwiaty.

W piątek, 26 sierpnia, z samego rana szukałam dla Janeczki białych róż. Ponieważ nie znalazłam takich, wybrałam biały wrzosiec. Kiedy byłam gotowa do wyjścia, zadzwoniła – jak sądziłam – Janeczka. Odebrałam telefon i nie słuchając głosu po drugiej stronie, powiedziałam: *Już biegnę do Ciebie, Janeczko.* I wtedy usłyszałam... głos Janusza, męża Janeczki. Z hiobową wieścią.

Wcześniej, dedykując mi „Sekundy pod księżycem” napisała: *Dobrze, że zdążyłaś pojawić się w moim życiu, Olu.* Czy można pięknie objąć człowieka?

Janeczka przegrała z chorobą, choć do końca wierzyła. Wybrała ciszę, skromność, szum wiekowych drzew. W tej przesmutnej ciszy pożegnania zatrzymaliśmy myśli przy Janeczce. Na długo. Pomogą nam Jej wiersze, opowiadania, wspomnienia.

Zadzwoniłam wczoraj do Janeczki. Powiedziała: *Witam. Zostaw wiadomość.* Zostawiłam: *Będzie Ci dobrze w niebie.*

Aleksandra Fidziańska

Kazimierz Słomiński

TAK DALEKO I BLISKO

Joanna Dawidziuk urodziła się w 1969 r. w Grodzisku k. Drohiczyna. Z wykształcenia jest teologiem i surdopedagogiem. Mieszka i pracuje w Białymstoku. „Tak daleko i blisko” to jej pierwszy tomik poetycki. Debiutowała jako poetka w 2005 r. (w pokonkursowym wydawnictwie XIII Konkursu Poezji Religijnej im. ks. prof. Józefa Tischnera w Ludźmierzu). Związana z Nauczycielskim Klubem Literackim w Białymstoku, jest współautorką zbioru poezji „Ona”, wydanego przez NKL w ramach Kajetów Starobojarskich. Jej wiersze ukazały się m. in. w almanachach „Betlejem jest w tobie” (2005), „Epea 7” (2008), „Epea 8” (2009), „Epea 9” (2010), w antologiach „Na skrzydłach słów” (2009), „Podlaha antologio” (2009; w języku esperanto), „Antologia Podlaska” (2010), „Opętani wierszem” (2010).

Na tomik „*Tak daleko i blisko*” – czytamy na ostatniej stronie okładki – *złożyły się wyciszone, delikatne erotyki oraz wiersze, podejmujące temat duchowego ocalenia i potwierdzenia tożsamości wewnętrznej poprzez wtopienie się w przyrodę, powrót do „małej ojczyzny”.* W swoisty klimat zbioru doskonale wprowadza już pierwszy wiersz, zatytułowany „Szepty”: *moje krajobrazy / wędrują brzegiem / filizanki / porannej kawy // przechodzą / pasmem włosów / niesfornych / o tej porze // pozwalam im / wędrować / do zapachu lasu / kropli deszczu / słońca / w twoje utulenie* (str. 5). To wyciszony, delikatny, nie pozbawiony kobiecej kokieterii i zmysłowości tekst. Jest w nim nie tylko motyw poranka, zapach czy smak kawy, dotyk włosów, ale przede wszystkim uczucie i refleksja – motyw wędrówki z zaskakującą gradacją: *do zapachu lasu / kropli deszczu /*

słońca / w twoje utulenie. Las i drzewa to jeden z wiodących motywów w tym tomiku – nawet na okładce znalazło się zdjęcie wypuszczających pąki i zakwitających na tle nieba gałązek (wszak autorka wywodzi się z rodziny leśników). Zakończenie wiersza wprowadza też w klimat erotyków, tak charakterystycznych dla tego zbioru, mówi o potrzebie bliskości z ukochanym człowiekiem. Ale ten ciąg las-deszcz-słońce (i w domyśle niebo) nie wyklucza też innej interpretacji: wędrówki ku Najwyższemu. Zdają się to potwierdzać wiersze zamykające tomik, mówiące o ziemskiej drodze człowieka i o Bogu.

Wiersze Joanny Dawidziuk to właściwie poetyckie miniatury, forma z natury swej niełatwa, wymagająca od autora niemałej precyzji. Te wiersze niejednokrotnie zaskakują swoim kunsztem, konsekwentnym kształtowaniem sytuacji lirycznej i wysmakowaną, wyciszoną prostotą. Niektóre sformułowania przyciągają uwagę i zapadają w pamięć, zwłaszcza w wersach zamykających teksty: *zaraźliwe kochanie / małego serca* (str. 10), *z dotknięciem warg / obudzisz marzenia / rozkołysania głodne...* (str. 11), *a ja będę / pamięcią dotyku* (str. 12), *po między tym co dzieli / i tym co łączy / jest chwila milczenia* (str. 17), *tylko miłość / wciąż ta sama / bo dobra* (str. 53), *widzieć / Boga w człowieku* (str. 63). Potrafią też zaskoczyć wersy inicjujące wiersz: *jeśli zechcesz / stanę się / półdzika* (str. 12), *bez ciebie / rozsypują się kwiaty i moje istnienie* (str. 21). Ten ostatni cytat Bożena Siemieńczuk-Bartoszewicz postanowiła wykorzystać jako motto do jednego ze swoich utworów prozatorskich.

O czym w gruncie rzeczy traktują te wiersze? Można je odebrać jako utwory mówiące o potrzebie miłości. I to nie tylko o miłości zmysłowej i potrzebie bliskości z innym człowiekiem. Temat ten podsumowuje piękny wiersz z mottem św. Jana od Krzyża: *Pod wieczór będą nas sądzić z miłości*. Jakiej miłości? *Tej nienazwanej / przemilczanej z lęku (...)* *Tej zasuszonej / która zwiedła (...)* *Przydeptanej / w gonitwie i zabieganiu (...)* *I tej naszej / która nam się nie trafiła / niewymodlonej – przeoczonej* (str. 66).

Warto też zwrócić uwagę na motyw słowa, jeden z wiodących w tym tomiku. Czym dla poetki jest słowo i sam akt tworzenia? Kilka cytatów: *uczucia / zdają się / przeczyć / ubóstwu słowa / domagając się / wciąż nowych / wierszy* (str. 38), *słowa cichną / przybierają formę doskonałą* (str. 49), *wiersze (...) jest w nich bicie serc / istnienie / z odblaskiem słowa* (str. 50). Słowo (zarówno to pisane małą jak i dużą literą) łączy się z drogą życiową człowieka i potrzebą zrozumienia sensu istnienia. W wierszu „Obraz” czytamy: *Kres istnienia? / Nie wszystek umieram / odkupienie Słowa / przyszło i pozostało / Żyję w nim... / Widzę...* (str. 62). Istotę Słowa i jego potrzebę pomaga wyjaśnić piękny wiersz-modlitwa: *Panie, który jesteś / światłem i cieniem / drogą i rzeką / pozwól mi czytać / Twoje słowa / w codziennym stapaniu / tam skąd me serce wołanie słyszy / niech dostrzegę / Światło* (str. 61). I wreszcie wiersz „Wyznanie”, zamykający tomik: *Tej przestrzeni / bez miary i wagi / tam gdzie słowo / jest pierwszym posłańcem / szukam wciąż / duszą wyobraźni* (str. 67).

A może pojęciem kluczowym w tym tomiku jest życie, ludzkie dążenia i pragnienia? Nie przypadkiem w jednym z wierszy pojawiają się słowa: *tak blisko i daleko / do życia* (str. 52). Albo też w wierszu na str. 42: *Powtarzam / to spotkanie / by być / jak wtedy // piasek polnej drogi / rozgrzany słońcem / przesypują stopy // tak daleko i blisko*.

Tak czy inaczej ten debiutancki bądź co bądź tomik potrafi dostarczyć sporo satysfakcji czytelnikowi. Bo i któż na przykład potrafiłby tak pisać o miłości: *zdarzyła się miłość / bo miała się zdarzyć (...)* *przysiadł mój Anioł / obok twojego Anioła / i zaczęły razem / pisać wiersz* (str. 26)? Albo wyczarować anioły nawet z makaronu (str. 29)?

Tomik ten został ciekawie skomponowany również od strony graficznej i technicznej. Przy wymiarach 20,1 x 9,7 cm doskonale układa się na dłoni i przyciąga wzrok swoją stonowaną i wysmakowaną okładką. *Filigranowy a filuterny* – jak określił Wiesław Szymański w audycji „Poczta literacka” (Polskie Radio Białystok, 4.11.2011).

Kazimierz Słomiński

Joanna Dawidziuk. *Tak daleko i blisko*. Redakcja: Irena i Kazimierz Słomińscy. Związek Literatów Polskich Oddział w Białymstoku, Białystok 2011.

DOJRZEWANIE DO ŚWIATŁA

**** Wzrok / ponad horyzont/ ku nieskończoności / wszechświat i ja / dwa kosmosy / gdzie część wspólna / mierzona / chwilą atomu / moim oddechem / i plamką serca.*

Czym jest poezja dla Anny Sołbut? Czy tylko iluzoryczną repliką postrzeganej rzeczywistości, czy sposobem eksploracji innego świata – tego poza pozorami, niematerialnego, niewidzialnego, ale jak najbardziej rzeczywistego, przeżywanego na jawie, przeczuwanego w snach? A może jest pomostem łączącym rzeczywistość tego świata z rzeczywistością duchową?

Życie każdego człowieka jest drogą, w czasie której próbuje on odkryć, kim jest, dokąd zmierza, jakie jest jego miejsce we Wszechświecie, jaki sens ma jego egzystencja. Przebiega ono w dwu płaszczyznach – fizycznej, tej na powierzchni, postrzeganej przez innych, i duchowej, tej ukrytej, nieogarnionej, która jest wspólna dla wieczności. Pełnia człowieczeństwa może być osiągnięta jedynie poprzez integrację obu tych wymiarów, zaakceptowanie przemijalności i zrozumienie, a przynajmniej poszukiwanie sensu swojego istnienia, ustalenie, co stanowi jego summum bonum. A poszukiwanie siebie zawsze jest splecione z poszukiwaniem Boga.

Nie można w pełni zasłużyć na miano homo sapiens, jeśli nie nurtują nas pytania o ów sens, o Prawdę. Są to pytania ponadczasowe, powracające w całej historii ludzkości; pytania, które trapią i będą trapiły człowieka od Adama i Ewy po kres istnienia. Są one wpisane w nasze życie. Zadaje je religia, filozofia, psychologia, sztuka, ale nie ma na nie jedynej słusznej odpowiedzi, ponieważ każdy człowiek sam musi jej szukać. Dlatego autorka świadoma ich wagi deklaruje: **** Nie boję się / pytań // strach / rodzą jedynie / odpowiedzi.*

Treścią i istotą twórczości Anny Sołbut jest stawianie owych najistotniejszych pytań i nieustanne poszukiwanie odpowiedzi. Niczym leitmotyw przewijają się one przez wszystkie jej tomiki. Pisze poetka: *urodziłeś się po to / by pytać jak Hamlet.* A w innym miejscu: *nie wiem kim jestem, choć tak często / korzystam ze ściągawek / wczorajszych doświadczeń; *** Może / przestanę kiedyś pytać // szukać będę dalej* (tomik „Nie jest” 1991). Później zaś: *Nielatwo / przyznać się do siebie.* I dalej: *znaki zapytania są nieśmiertelne* (tomik „Otwieranie ciszy” 1993); **** Wciąż w drodze / moje Gdzieś / ucieka / przede mną // stopy / podnoszą / tylko kurz* (tomik „I stała się światłość” 1997); *nie masz innej drogi / jak ten dzień / kolejny / by pokonać siebie.* I wreszcie: *Jestem bogatsza (...) o przecucie sensu / egzystencji świata* (tomik „Walka o dzień” 2002).

I Anna Sołbut, *bogatsza o przecucie sensu egzystencji*, bodaj najpełniej wyraża emocjonalną i intelektualną podróż wewnętrzną podmiotu lirycznego do samego siebie w nowym tomiku wierszy „Akordy snu”.

Niezwykle wartościowy to tomik. Już od pierwszych strof widać, że bohaterka szuka zrozumienia sensu istnienia i swojego miejsca we wszechświecie. Na początku jeszcze dotyka ziemi, oscyluje między pytaniami filozoficznymi i dotyczącymi spraw ziemskich; i te ostatnie często przeważają. **** Zapachem deszczu / woła do mnie / ziemia (...) / siłą ciężkości / opadam / w dłoń czasu. *** Nasz / mały kosmos / rzadko / spogląda w niebo // Niecierpliwie / zerka na zegarek / i konto w banku / narzeka / na pogodę / i ułomność losu.* Potem jednak coraz bardziej zagłębia się w problematykę egzystencjalną, jakby bez jej rozstrzygnięcia nie potrafiła już żyć. **** Dzień po dniu / obiecana / zdarzeniom / przypisana drodze // krok po kroku / jak wędrowiec / tropiąc / własne ślady // idę / na spotkanie / siebie.* I jeszcze głębiej: **** Podążając / wzdłuż cienia / dojrzewam / do światła.*

W swojej wędrówce po *krętych ścieżkach świata* zderza się z nieprzyjazną cywilizacją, która *urosla nam (...) i nie wiemy / co mamy / z nią począć.* Zdaje sobie sprawę z niedoskonałości dyskursywnego rozumu, któremu obce są wszelkie uczucia (*gładkie i zimne / kształty / naszych umysłów*). Obawia się, że intelekt użyty jako narzędzie do osiągania stawianych sobie celów łatwo może zbłądzić i stać się przyczyną porażki człowieka. *Człowiek / jest przydatny / jeśli ulegnie / ideom (...) jeżeli powie / Nie / musi odejść / w pośpiechu / ukryć się / pod liściem.* Dlatego zaniepokojona poetka pyta: **** Dokąd zmierzasz / człowieku / ferując wyroki / w imieniu*

*wszechświata // twoja wielkość / w niedoskoności / prawda / to krótkowzroczność spojrzenia / nawet pytania / nie te / które / powinieneś zadać. I dodaje: *** Gubimy się / w myślach / i na krętych / ścieżkach losu / czasem tylko / przypadkiem / ukaże się / droga / na wprost // każda / ludzka prawda / jest skażona / błędem.*

Bohaterka wie, że trzeba *zaufać Bogu*; przeczuwa, że Prawdę najczęściej można osiągnąć nie przez dyskursywny rozum, lecz inaczej – poprzez iluminację. A jeszcze częściej – ale jedynie szczątki Prawdy – mogą dotrzeć do nas niejako poprzez tytułowe *akordy snu*. Wyraża to przepiękną strofą: **** Pomiędzy / światłem i cieniem / nigdy / w pełnym blasku // krzykiem i milczeniem / pomiędzy słowami // tylko jeden krok / tuż na wyciągnięcie / dłoni // prawda / której szukasz. Tylko wtedy człowiek może zbliżyć się do Boga, znaleźć w sobie to, co stanowi o jego wartości. *** To co w nas / niemożliwe / ukryte / skrzętnie przed światem / staje się / jego pięknem. Bowiem: *** Kiedy szukam / milczeniem / dotyka mnie / niebo // w objęciach / błękitu / łagodnieje / niepewność istnienia.*

Tę niepewność może złagodzić także bliskość drugiego człowieka, w którym podmiot liryczny szuka oparcia. **** Z blasku / twoich oczu / wyprowadzić świt // jasność / na początek dnia // na drogę / do siebie. Potrzebuje codziennego wspierania: potrzeba mi / twojej wiary // wiary / we mnie. Ale nawet z najbliższą osobą całkowite, pełne porozumienie nie jest możliwe. *** Nigdy / nie dowiem się / co myślisz / patrząc za horyzont // nawet / jeśli mi powiesz // ten sam / zachód słońca / widzimy inaczej // nie dowiem się / co czujesz / słuchając muzyki / czy głaszcząc psa // nawet / jeśli dotknę / twojej duszy // pocuję co innego.*

Egzystencja człowieka naznaczona jest piętnem samotności od początku do końca, od urodzenia do śmierci, ulicami podążają *karawany samotności*, człowiek jest jej *zakładnikiem*. W swojej tułaczce przechodzi różne stadia – przeżywa zwątpienie, zagubienie, miota się w chaosie, odczuwa lęk, bezradność, rezygnację, jednak nie poddaje się. Kolejne etapy rozwoju prowadzą do ostatecznej akceptacji istoty bytu, zamysłu Boga. Jednym słowem – do pokory jako największej mądrości. Po drodze siłą znajduje także w powrocie do dzieciństwa: **** Wrócić raz jeszcze / za progiem / rodzinnego domu / nasycić się / snem dzieciństwa // osuszyć łzy / zebrane po drodze / wybaczyć / i ocalić w sobie / dziecko.*

Wiersz zamykający tomik podsumowuje niejako te rozważania, jednak poetka ostatecznie nie daje odpowiedzi, bo dać jej nie może. Otwiera natomiast nowy obszar pytań egzystencjalnych na wyższym poziomie. **** W świetle dnia / okruszek żalu / i nie wiadomo / skąd / ani po co // a przecież / bez tych pytań / nie byłoby mnie / i zwątpienia // tego / które niezmiennie / każe / odradzać się / światu.* Podczas lektury czytelnik dokładnie odbiera uczucia przeżywane przez bohaterkę – autorce doskonale udało się uchwycić je i mistrzowsko przekazać. Czyni to w charakterystyczny dla siebie sposób – niezwykle delikatny, niedosłowny, skondensowany, niemalże epigramatyczny czy aforystyczny. Bo chyba można uznać za aforyzmy następujące zdania: *Każda ludzka prawda jest skażona błędem; Los bawi się nami jak kot; To, co w nas niemożliwe, ukryte skrzętnie przed światem, staje się jego pięknem; Czas dał mi klucz; W objęciach błękitu łagodnieje niepewność istnienia; Nie boję się pytań, strach rodzą jedynie odpowiedzi; Wiem nazbyt mało, aby przestać pytać.*

Skoncentrowałam się na jednym wątku, ale jest to poezja wielowątkowa, wielowymiarowa; pełno w niej symboli i pojęć filozoficznych, jak: czas, wolność, prawda, ptak, skrzydła, wiatr, klucz, światło, cień, cisza. Każdemu z nich można by poświęcić osobną rozprawkę.

Najcelniej określili tę twórczość znakomici krytycy literacy i poeci. Waldemar Smaszcz pisze: *Anna Solbut wcześniej posiadała prawdziwą biegłość we władaniu słowem, ocierając się nierzadko o maestrię. (...) Jest to twórczość bardzo osobista, kameralna, kreślona tak subtelną linią jak niemal niewidoczna nić misternej siatki pajęczyny.* I dalej: *Żadnej dosłowności, obcej tej liryce, wszystko spowite jakąś zwiewną mgiełką, wpisane w sen, a przecież rzeczywiste, wręcz dotykalne.* Jan Leończuk uważa, że *epigramaty Anki Solbut stają się dla rozszalałej poezji współczesnej jak gdyby przystankiem zadumy nad losem świata*, Nikos Chadzinikolau uznaje je za *godne antycznej miary*, podkreśla stworzoną przez poetkę *swoistą metaforę istnienia*, a Leszek Żuliński nazywa autorkę *prawdziwą mistrzynią epigramatu*, która w *niemal aforystycznej formie, w superlapidarnej formule potrafi odkrywać paradoksy egzystencji i metafizyki.*

Warto sięgnąć do książki „Akordy snu”, oprócz przeżyć estetycznych może ona stać się jednym z drogowskazów w życiowej podróży czytelnika, pomóc mu w jego własnych poszukiwaniach.

Regina Kantarska-Koper

Posłowie w: Anna Sołbut. *Akordy snu*. Białystok 2011.

NOTKI

„Sami o sobie”. Magazyn informacyjno-kulturalny. Nr 1/2011. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury Sportu i Turystyki w Suchowoli. [Suchowola]. Str. 11 – w rubryce „Nasi twórcy”: Krystyna Gudel. *Bezsensowność; Wiatrem podszyte; *** bądź obecność twoja...; Podaruj mi; Dym*. [Wiersze]. Zdjęcie i notka o autorce.

„Poradnik Bankowy”. Magazyn klientów PKO Banku Polskiego. Nr 3 (71). 2011. Str. 18: Lidia Sosnowska. *Ponad pół wieku razem*. [Pod nagłówkiem: *Zaufali nam. Robert Panek – autor hejnałów Białegostoku i Quito, stolicy Ekwadoru, oraz sześciu tomików wierszy. Odwiedził ponad 40 krajów na całym świecie.*]. Zdjęcie.

Zbigniew A. Judycki. *Encyklopedia policji. Część biograficzna. Tom I*. Wydawca: Redakcja Informatorów Biograficznych Józef Siwek, Kielce, b.r.w. [2011]. Stron 388 + 20 kolorowych stron reklamy; 28,6 x 21 cm; ISBN 978-83-923913-7-1; ISBN 978-83-923913-8-8. Na str. 246 hasło: **PANEK Robert Jan**, nadkomisarz Policji w st. spocz., kapelmistrz; ur. 21 maja 1933 w Staszowie (woj. kieleckie), syn Jana i Natalii z domu Gęca. Wykształcenie: Państwowe Liceum Muzyczne w Warszawie 1957; Oficerska Szkoła dla Kapelmistrzów Wojskowych (późniejsze Studium Muzyczne dla Kapelmistrzów Wojskowych) w Warszawie 1953-1956; Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie 1957-1962; Wyższa Szkoła Milicji Obywatelskiej w Szczytnie 1974. Dyrygent orkiestry w Młodzieżowym Domu Kultury w Warszawie 1958-1960; muzyk w Państwowej Orkiestrze Symfonicznej w Białymstoku 1960-1972; nauczyciel w Państwowej Szkole Muzycznej (I i II stopnia) w Białymstoku 1960-1964; instruktor muzyczny i kapelmistrz w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Białymstoku 1965-1971; wykładowca i kapelmistrz w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Białymstoku 1971-1987; kapelmistrz orkiestry Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku 1991-1994. Autor artykułów i reportaży, m. in. w „Gazecie Współczesnej”, „Gońcu Staszowskim”, „Wieściach Podlasia”, „Tygodniku Nadwiślańskim”, „Gazecie Kupieckiej”, „Gońcu Świętokrzyskim” oraz publikacji książkowych: „Podstawowe wiadomości z zasad muzyki i form muzycznych” (Białystok 1966), „Materiały pomocnicze dla kierowników zespołów muzycznych” (Białystok 1967), „Problemy zadęcia dźwięku Managua” (Białystok 2002), „Tablice do nauki harmonii” (Białystok 2006) i 6 tomików utworów poetyckich. W latach 1958-2008 przebywał w 41 krajach jako dyrygent, instrumentalista i kapelmistrz orkiestr dętych. Organizator reprezentacyjnych orkiestr wojskowych w Nikaragui, na Kubie, Litwie i Łotwie. Komponował muzykę dla dworów królewskich Hiszpanii, Szwecji, Norwegii, Belgii, na Igrzyska Olimpijskie w Atlancie i Pekinie oraz dla wybitnych sportowców polskich (m. in. I. Szewińskiej, A. Małysza, O. Jędrzejczak) i zagranicznych (m. in. dla piłkarzy Kamerunu, Urugwaju, Argentyny). Jego utwory dwukrotnie wykonano w Watykanie, w Republice San Marino oraz na uroczystościach związanych z wstąpieniem Polski do NATO. Miał okazję poznać osobiście Jana Pawła II, króla i królową Hiszpanii, króla i premiera Szwecji, prezydenta Nikaragui oraz Raula i Fidela Castro. Członek: Białostockiego Towarzystwa Muzycznego 1963-, Białostockiego

Towarzystwa Kultury 1979-1991, Związku Nauczycielstwa Polskiego 1999-2009. Laureat nagród: ministra kultury i sztuki 1969 i 1974, ministra kultury Kuby 1986, ministra obrony narodowej Turcji 1999, komendanta Szkoły Policji w Pile 2003. Odznaczenia: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Srebrny Krzyż Zasługi, złota odznaka „Zasłużony Białostoczczyźnie”, złoty, srebrny i brązowy medal „Za zasługi dla pożarnictwa”, złoty i srebrny medal „Opiekun miejsc pamięci narodowej”, odznaka „Zasłużony działacz kultury” (2x), odznaka „Zasłużony dla kultury polskiej”, Medal Przyjaźni (węgierski). Zainteresowania/hobby: muzyka, poezja, fotografia (15 wystaw fotograficznych w kraju i 2 za granicą). [Zdjęcie czarno-białe].

Anna Solbut. *Akordy snu*. Wydawnictwo PRYMAT Mariusz Śliwowski, Białystok 2011. Stron 98; 20,5 x 13 cm; ISBN 978-83-7657-046-4. Opracowanie graficzne: Małgorzata Jaroma. Str. 87-93: Regina Kantarska-Koper. *Dojrzewanie do światła*. [Posłowie]. Tomik poezji (74 wiersze). Na ostatniej stronie okładki notka o autorce: *Anna Solbut – Poetka, członek ZLP Oddział w Białymstoku. Dotychczas opublikowała zbiory wierszy: „Nie jest” (Białystok 1991 r.), „Otwieranie ciszy” (Białystok 1993 r.), „Jak Eurydyka” (Poznań – Biała Seria Poetycka 1995 r.), „I stała się światłość” (Białystok – Świętojańska Seria Poetycka 1997 r.), „Walka o dzień” (Białystok, 2002 r.). Swoje wiersze publikowała również w wielu antologiach i w prasie. Jest laureatką m.in. nagrody im. Wiesława Kazaneckiego – 1995 r., nagrody za najlepszą książkę roku na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu – w 1995 r. (pt. „Jak Eurydyka”) oraz innych. Jej twórczość tłumaczona była na język włoski, litewski, grecki, białoruski, japoński oraz esperanto.*

„Głos Nauczycielski”. [Warszawa]. Nr 39. 28 września 2011. Str. 18: Nekrolog:

Z głębokim żalem i smutkiem zawiadamiamy, że 18.09.2011 r. zmarł nasz kolega EUGENIUSZ SZULBORSKI.

Odszedł Przyjaciel, wspaniały Człowiek i poeta, prozaik, satyryk i krytyk literacki, wieloletni prezes Nauczycielskiego Klubu Literackiego i prezes Białostockiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Jego pomysły żyją do dziś – kwartalnik „Najprościej”, konkurs poetycki „O Buławę Hetmańską”, konkurs na aforyzm i fraszkę „Satyrbia”, „Kajety Starobojarskie”, seria kieszonkowa i „Miniatury Poetyckie”. Wielokrotnie gościł na łamach „Głosu Nauczycielskiego”. Był inicjatorem wielu wydarzeń literackich i artystycznych w Okręgu Podlaskim. Redagował książki zaprzyjaźnionym literatom z całej Polski.

Pozostawił wielu przyjaciół. Bolesnie odczuwamy jego brak.

Będziemy towarzyszyć w bólu Żonie, Dzieciom, Wnukom.

Zarząd Okręgu Podlaskiego ZNP, Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku oraz koleżanki i koledzy z Nauczycielskich Klubów Literackich w całym kraju.

7.10.2011. Rozstrzygnięty został konkurs poetycki „Strofy pachnące żywicą” w ramach XIII Festiwalu Nauki i Sztuki w Siedlcach (na konkurs należało przesłać wiersze poświęcone lasom, napisane z leśnej inspiracji). Przyznano 3 nagrody i 9 wyróżnień. Pierwszą nagrodę uzyskała Regina Świtoń (Knyszyn); wyróżnienia m. in.: Krystyna Gudel (Suchowola), Janina Puchalska-Ryniejska (Supraśl). • Wydawnictwo pokonkursowe: *Strofy pachnące żywicą*. [Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach], Siedlce 2011. Na okładce: *XIII Festiwal Nauki i Sztuki w Siedlcach. Strofy pachnące żywicą. 6-8 i 14-16 października 2011 r.* Na stronie tytułowej: *Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach. XIII Festiwal Nauki i Sztuki. Międzynarodowy Rok Lasów 2011*. Stron 90; 20,7 x 14,7 cm. Na str. 2 m. in.: *Ocena wierszy nadesłanych na konkurs: prof. dr hab. Zbigniew Lisowski, dr Małgorzata Burta. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza – Oddział Siedlecki. # Koncepcja i opracowanie redakcyjne: Ryszard Kowalski, Olga Szynkarczyk, Izabela Mazurek. ## Na str. 3 dedykacja: Tomik poezji poświęcony pamięci Wacława Klejmonta i Andrzeja Zalewskiego. ## Str. 31-32: Krystyna Gudel. *Różaniec pachnący żywicą; Pani od mgieł; Preludium jesienne*. [Wiersze]. Str. 66-69: Janina Puchalska-Ryniejska. *Uff, gorąco!; W zielonym raju; W krainie relaksu*. [Wiersze]. Str. 76-78: Regina Świtoń. *Bór; W puszczy; Zimą*. [Wiersze].*

XIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. St. Jerzego Leca. Nowy Targ 2011. Miejski Ośrodek Kultury, Nowy Targ 2011. Stron 28. Wydawnictwo pokonkursowe (konkurs rozstrzygnięty 8.10.2011). Jury: Wanda Czubernat, Anna Mlekođaj, Szczepan Sadurski. Przyznano za aforyzmy i fraszki I, II i III nagrodę oraz nagrodę burmistrza M. Fryźlewicza. # Str. 9-10: Apoloniusz Ciołkiewicz. [5 fraszek]. # Wydawnictwo dostępne na stronie internetowej MOK w Nowym Targu.

9.10.2011. Galeria Sleńdzińskich, Białystok, ul. Waryńskiego 24a. Anna Sołbut – spotkanie autorskie, promocja tomiku poezji *Akordy snu* (Białystok 2011). Prowadzenie: Regina Kantarska-Koper. Organizatorzy: Galeria Sleńdzińskich, Związek Literatów Polskich Oddział w Białymstoku.

14.10.2011. Poezja śp. Eugeniusza Szulborskiego. Spotkanie prowadziła Anna Romanowicz. Klub „Zenit”, Białystok, ul. Mieszka I 16 (Klub Seniora).

15.10.2011. Spotkanie literackie „Poezja Życiem Pisana”. Organizatorzy: Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku, Moniecki Ośrodek Kultury. Mońki, ul. Białostocka 25. # „Przymrozki Poetyckie” [spotkanie poetów ludowych Białostoczczyzny] – prowadził Janusz Taranienko. # Podsumowanie VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Melanii Burzyńskiej. • Wydawnictwo pokonkursowe: *VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana”*. Moniecki Ośrodek Kultury w Mońkach przy współpracy Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku, Mońki 2011. Stron [16] – bez numeracji; 29,6 x 10,5 cm. Redakcja i korekta: Katarzyna Namojlik. Str. [3]: *Wyciąg z Protokołu posiedzenia Jury...* Jury: Wiesław Szymański (przewodn.), Izabela Dąbrowska (WOAK), Bożena Kupińska (dyrektor GOK w Jaświłach), Katarzyna Namojlik (instruktor Monieckiego Ośrodka Kultury; sekretarz jury). Przyznano trzy nagrody, trzy wyróżnienia oraz trzy równorzędne Nagrody Specjalne Wójta Gminy Jaświły. Pierwszą nagrodę uzyskała Grażyna Cylwik (Białystok), nagrodę specjalną Wójta Gminy Jaświły otrzymała m. in. Krystyna Gudel (Suchowola). Str. [5]: Krystyna Gudel. *Babcia Olesia pachnie lawendą; Pani Melanio; Jak polna brzoza*. [Wiersze]. Str. [9]: Grażyna Cylwik. *Portret Melanii Burzyńskiej; Matka; Stary dom*. [Wiersze]. • „Wieści Monieckie”. Bezpłatny miesięcznik informacyjny miasta i gminy Mońki. [Mońki – Jasionówka – Trzciannie – Goniądz – Jaświły – Krypno – Knyszyn]. Nr 2 (12). Październik 2011. Str. 10: Oprac. Katarzyna Namojlik. *Poezja życiem pisana*. [O Melanii Burzyńskiej i konkursie poetyckim; zacytowany wiersz Grażyny Cylwik *Matka*]

16.10.2011. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Joanna Dawidziuk – spotkanie autorskie, promocja tomiku *Tak daleko i blisko* (prowadził Kazimierz Słomiński, wiersze czytała również Irena Słomińska). Turniej jednego wiersza; temat: *Między jawą a snem*. Zgłoszono 12 wierszy. Jury: Leonarda Szubzda, Krystyna Gudel, Apoloniusz Ciołkiewicz. Nagroda: Bożena Siemieńczuk-Bartoszewicz.

„Policjanci” [2011]. Policyjny magazyn historyczny. Numer specjalny. Materiały I Ogólnopolskiego Sympozjum Biografistyki Policyjnej „Policjanci wczoraj i dziś” pod honorowym patronatem komendanta głównego Policji gen. insp. Andrzeja Matejuka. Uniwersytet Warszawski, 21 października 2011 r. [Komenda Główna Policji, Muzeum Niepodległości w Warszawie, Stowarzyszenie Muzeum Policji w Kielcach, Stowarzyszenie Generałów Policji Rzeczypospolitej Polskiej, Międzynarodowe Stowarzyszenie Policji – Śląska Grupa Wojewódzka]. Redakcja: Zbigniew Judycki, Tadeusz Skoczek. Wydawca: Redakcja Informatorów Biograficznych – Józef Siwek, Kielce. Stron 256; 20,5 x 14,6 cm; ISBN 978-83-923913-6-4. Str. 69-72: mgr Anna Kozyra. [Stowarzyszenie Muzeum Policji]. *Człowiek orkiestra*. [Robert Panek; zdjęcie].

24.10.2011. Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego, Białystok, ul. Świętojańska 17. Bożena Siemieńczuk-Bartoszewicz [Bożena S. Bart] – spotkanie autorskie. Oprawa muzyczna: Andrzej Borowski.

„Martyria”. Miesięcznik Diecezji Ełckiej. [Ełk]. Nr 10 (245). Październik 2011. # Str. 19: *Trójgłos o „Okruchach” Janiny Osewskiej* – Wojciech Kass (*Nieczytelny alfabet natury* – fragment posłowania do albumu), ks. Jerzy Sikora (*Mowa symbolu*), Józef Budziński (*Twórca w kontakcie z dziełem Stwórcy*). Trzy krótkie recenzje: Janina Osewska. *Okruchy. Fotografie*. Augustów 2011. # Str. 19: Krystyna Gudel. *Rozmaitości niedzielne*. [Wiersz].

„Przegląd Augustowski”. Nr 10 (101). Październik 2011. # Str. 10-11: Janina Osewska [tekst i zdjęcia]. *Edukacja patriotyczna*. [O kształtowaniu postaw patriotycznych w szkole]. # Str. 15: Józefa Drozdowska [foto: Krystyna Gudel]. *Na wrześniowym Czwartku literackim*. [15.09.2011; antologia poezji dla dzieci *Czarowny świat wierszy*; Regina Kantarska-Koper, jej twórczość poetycka i satyryczna]. # Str. 16: Józefa Drozdowska. *Odchodzą na zawsze do Lepszej Krainy*. [Wspomnienie o Eugeniuszu Szulborskim].

„Spojrzenie”. Koło Literackie przy Klubie Nauczycieli Miasta Poznania. [Poznań]. [Redaguje Teresa Januchta]. Nr 37. Jesień – zima 2011/2012. Str. 12-15: Teresa Januchta. *Serce nie wytrzymało. Wspomnienie o Eugeniuszu Szulborskim*. Str. 38-39: Eugeniusz Szulborski. *Na obrzeżach życia*. Rec.: Teresa Januchta. *Na obrzeżach świtu*. Poznań 2011.

Joanna Dawidziuk. *Tak daleko i blisko*. Związek Literatów Polskich Oddział w Białymstoku, Białystok 2011. Stron 70; 20,1 x 9,7 cm; ISBN 978-83-62906-03-1. Redakcja: Irena i Kazimierz Słomińscy. Zdjęcia: Joanna Dawidziuk, Jerzy Bodalski. Projekt graficzny: Izabela Nowak. Druk: Buniak-Druk, Białystok. Tomik poezji (63 wiersze). Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autorki i nota: *JOANNA DAWIDZIUK. Urodziła się w 1969 r. w Grodzisku k. Drohiczyna. Z wykształcenia jest teologiem i surdopedagogiem. Mieszka i pracuje w Białymstoku. Debiutowała w 2005 r. Jest współautorką zbioru poezji „Ona” (2007), wydanego przez Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku w ramach *Kajetów Starobojarskich*. Jej wiersze ukazały się m. in. w almanachach „Betlejem jest w tobie” (2005), „Epea 7” (2008), „Epea 8” (2009), „Epea 9” (2010), w antologiach „Na skrzydłach słów” (2009), „Podlaha Antologio” (2009; w języku esperanto), „Antologia Podlaska” (2010), „Opętani wierszem” (2010). Na tomik „Tak daleko i blisko” złożyły się wyciszone, delikatne erotyki oraz wiersze, podejmujące temat duchowego ocalenia i potwierdzenia tożsamości wewnętrznej poprzez wtopienie się w przyrodę, powrót do „małej ojczyzny”.*

5.11.2011. Spotkanie warsztatowe NKL w Białymstoku. Prowadziła Regina Kantarska-Koper.

18.11.2011. Spotkanie autorskie: Marianna Szulborska – książka *Jak paciorki różańca*. Prowadziła Anna Romanowicz. Klub „Zenit”, Białystok, ul. Mieszka I 16 (Klub Seniora).

19.11.2011. „Jestem tylko pielgrzymem” – spotkanie literacko-wspomnieniowe, poświęcone pamięci Eugeniusza Szulborskiego. Białystok, Galeria Słędzińskich, ul. Legionowa 2. Organizatorzy: Galeria Słędzińskich, Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku, Białostocki Oddział Związku Literatów Polskich. Spotkanie prowadziła Joanna Pisarska. W programie: prezentacja multimedialna *Pamięć* (Joanna Pisarska); sylwetka twórcza E. Szulborskiego (Kazimierz Słomiński); wiersze i krótkie prozy E. Szulborskiego (czytali: Irena Słomińska, Barbara Lachowicz, Marek Dobrowolski); tekst *Testament Eugeniusza Szulborskiego* – Regina Kantarska-Koper; wiersze dedykowane E. Szulborskiemu (Joanna Dawidziuk, Marek Dobrowolski, Jolanta Herman, Dorota Łabanowska, Joanna Pisarska). Oprawa muzyczna: Joanna Gryko (skrzypce), Anna Kisielewska (fortepian).

20.11.2011. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. „Testament twórczy Eugeniusza Szulborskiego” (prowadziła Irena Grabowiecka). Turniej jednego wiersza; temat: *Między światłem a cieniem*. Zgłoszono siedem wierszy. Jury: Irena Słomińska, Eugenia Adamska, Regina Kantarska-Koper. Nagroda: Apoloniusz Ciołkiewicz; wyróżn.: Barbara Lachowicz.

„Gazeta Hajnowska”. Miesięcznik samorządowy miasta Hajnówka. Nr 8 (170). Listopad 2011. Dodatek „Pismo kulturalne”. Nr 8 (43). Listopad 2011. Str. 7: Edward Lipiński. *Puszcza Białowieska; *** Orły rodzą się rzadko...; Sianokosy*. [Wiersze]. Str. 8: Edward Lipiński – nota biograficzna.

„Przegląd Augustowski”. Nr 11 (102). Listopad 2011. # Str. 7: (A). *III Kwesta na augustowskim cmentarzu*. [Notatka; na zdjęciu m.in. Janina Osewska]. # Str. 14: Józefa Drozdowska [foto]. *O mogiłkach z mojej rodzinnej wsi Jeziorki*. # Str. 16: Józefa Drozdowska [foto]. *Dawne krzyże Grygów i Chmielewskich z Jeziorek*. # Str. 16: Józefa Drozdowska. *Czytanie Miłosza*. [Czwartek literacki w MDK 20.10.2011].

„Kroniki. Według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach”. Nr 4 (8). 2011. Przegląd wydarzeń kulturalnych obejmuje okres: lipiec – wrzesień 2011. Na str. 5 odnotowany Czwartek literacki (MDK Augustów) z Reginą Kantarską-Koper (15.09.2011). Na str. 5-6 tekst o śmierci Eugeniusza Szulborskiego (przygotowany przez Józefę Drozdowską). Na str. 6 odnotowana prezentacja antologii *Czarowny świat wierszy* w Galerii Sleńdzińskich w Białymstoku (25.09.2011).

Na wniosek Komisji Kwalifikacyjnej Zarząd Główny Związku Literatów Polskich na swym posiedzeniu w dniu 5 października 2011 r. postanowił przyjąć Irenę Grabowiecką w poczet członków Związku Literatów Polskich.

Strona internetowa: „**Literaci.eu**”. Magazyn Związku Literatów Polskich. # [Wpisane] 21.10.2011. *Anna Solbut w Galerii im. Sleńdzińskich*. [Zaproszenie na spotkanie]. # 21.10.2011. Regina Kantarska-Koper. *Dojrzewanie do światła*. [Posłowie w: Anna Solbut. *Akordy snu*. Białystok 2011]. # 14.11.2011. *Jestem tylko pielgrzymem. Wspomnienia o Eugeniuszu Szulborskim*. [Zaproszenie na spotkanie 19.11.2011].

Portal internetowy „**Na Łódce Poezji**”. # [Wpisane] 14.11.2011. *Jestem tylko pielgrzymem* – zaproszenie na spotkanie poświęcone pamięci Eugeniusza Szulborskiego (19.11.2011).

Strona internetowa Jana Migielicza: **Migielicz.pl portal satyryczny**. [Wpisane:] 1.10.2011. Apoloniusz Ciołkiewicz. *Przedwyborcze zauroczenie*. [Wiersz satyr.]. # 3.10.2011. Regina Świtoń zwyciężczynią Konkursu Poetyckiego „*Strofy pachnące żywicą*” w ramach XIII Festiwalu Nauki i Sztuki w Siedlcach. # 24.11.2011. *Zmarł Eugeniusz Szulborski – uznany poeta, satyryk, animator życia literackiego na Podlasiu*. [Tekst w oprac. Kazimierza Słomińskiego].

Polskie Radio Białystok. Poczta Literacka. Audycja Wiesława Szymańskiego. # 7.10.2011 i 14.10.2011. Grażyna Cylik – wiersze nagrodzone w VIII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Melanii Burzyńskiej „*Poezja życiem pisana*” w Mońkach. # 4.11.2011. Materiały z „*Najprościej*” nr 2/92/2011: Eugeniusz Szulborski – wiersze; Rafał Orlewski, Regina Świtoń, Marek Dobrowolski – wiersze poświęcone pamięci E. Szulborskiego. Joanna Dawidziuk – wiersze z tomiku *Tak daleko i blisko* (Białystok 2011). # 25.11.2011. O opowiadaniach Grażyny Cylik *Przyjaciele*. # Zapis audycji dostępny czasowo na stronie internetowej Polskiego Radia Białystok.

www.waydyk.blogspot.com

Zbigniew Jan Waydyk (1924-2003)

Waydyk Zbigniew, aforyzmy, fraszki, zyciorys, Syberia, Świsłocz, Białystok, Waydykamenty, myśli niesforne, pieśni zielonej katorgi, AK, Smiersz.

Blog Piotra Waydyka – ku pamięci ojca Zbigniewa Waydyka (pierwszy wpis 11.08.2009, następne od listopada 2011).

Na blogu aktualnie: zyciorys Z. Waydyka, wybrane utwory: fraszki, aforyzmy, wiersz *Dziękczynienie*, opowiadania *Żywi salutują umarłym* i *Śmierć olimpijczyka*.

PONADTO W REGIONIE:

Rozstrzygnięta została druga edycja ogólnopolskiego konkursu literackiego „Tutaj jestem” organizowanego przez białostocki Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury. Nadesłano prawie 40 tekstów z całego kraju a także z USA. Jury przewodniczyła dr Katarzyna Kościwicz (Uniwersytet w Białymstoku). Nagrodzono powieść Kamili Przychodzeń „Śladami twoich stóp”. Jest to historia młodej kobiety, która pod wpływem osobistych przeżyć postanawia rozwikłać rodzinną tajemnicę – związaną z Białymstokiem (dzieje kilku pokoleń wpisane w burzliwą i wciąż mało znaną historię miasta). Autorka jest nauczycielką języka polskiego w jednej z białostockich szkół, a nagrodzona powieść to jej debiut literacki (ukaze się nakładem białostockiego WOAK).

13-14.10.2011. „Podlasie w literaturze – literatura Podlasia (po 1989 roku). Nowoczesność – regionalizm – uniwersalizm” – pod takim hasłem odbyła się w Białymstoku ogólnopolska konferencja naukowa zorganizowana przez Stowarzyszenie Trans Humana przy współpracy naukowej z Zakładem Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku przy wsparciu finansowym Prezydenta Miasta Białostok.

Wojciech Wencel z Gdańska laureatem Ogólnopolskiej Nagrody im. Franciszka Karpińskiego. Nagrodę przyznaje co roku Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana pod przewodnictwem Metropolity Białostockiego arcybiskupa Edwarda Ozorowskiego.

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Środy literackie. Spotkania autorskie (październik – listopad 2011). Wypożyczalnia Główna, ul. Kilińskiego 11. # 5.10.2011. Jolanta Wasilewska. # 12.10.2011. Krystyna Nepomucka. # 19.10.2011. Jan Oniszcuk. # 26.10.2011. Katarzyna Majgier. # 6.11.2011. Zadzuszki literackie (Jan Leończuk, Roman Czepe). # 9.11.2011. Małgorzata Nawrocka. # 16.11.2011. Halina Sierant-Ripper, Ewa Gajewska (Wokół twórczości Jana Kasprowicza). # 23.11.2011. Barbara Kosmowska. # 30.11.2011. Michał Jagiełło.

K. S.

KSIĄŻKI

Cimek Edward Franciszek. *U źródła*. © Edward Franciszek Cimek, Izbica 2011. Stron 36; 20,7 x 14,8 cm; ISBN 978-83-932983-4-1. Projekt okładki: Anna Kiszczyńska z wykorzystaniem fotografii J. H. Cichosza. Tomik poezji: 12 wierszy po 4-7 wersów oraz 15 sonetów.

Krzysztof Kamiński. *Mały złoty pegaz*. b.m.w. [Druk i oprawa: Poligrafia Janusz Laszczkowski, Bydgoszcz], b.r.w. [2011]. Stron 72; 17,9 x 13 cm; ISBN 978-83-930276-3-7. Projekt okładki: Anna Freisler. Opracowanie graficzne: Barbara Rzepa-Leichsenring. Korekta: Maria Jolanta Kowalska. Tomik poezji. (34 wiersze i dwa teksty prozatorskie). Str. 5: *Od autora*. Czytamy: *Pomysł napisania tej książki przyszedł mi do głowy w Krakowie, podczas ciepłego jesiennego dnia. Kupiłem wtedy, w jakimś kiosku, figurkę małego pegaza. Nie ze złota, tylko żółtego mosiądzu. Przyjechałem do domu i postawiłem go na małej okrągłej podstawie. Od tego dnia towarzyszy mi dzielnie w zmaganiach pisarskich. Obecny jest przy moich powieściach i wierszach. Siedzi ze mną cierpliwie do późnych godzin nocnych. Pocięsza w chwilach zwątpienia i dodaje otuchy. Byłem mu winny tę książkę, książkę o podróży w świat fantazji, poezji i miłości. (...)*. Na ostatniej stronie okładki: Krzysztof Kamiński i Barbara Rzepa-Leichsenring – zdjęcia i notki. # Trzecia z serii trzech książek. Poprzednio ukazały się: 1) Maria Jolanta Kowalska. *Tańcz w ogniu miłości*. Toruń 2011; 2) Maria Jolanta Kowalska, Krzysztof Kamiński. *Włoski zawrót głowy*. Bydgoszcz 2011.

Ryszard Kubiak. *Prośba o codzienność*. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK w Piotrkowie Trybunalskim, Piotrków Trybunalski 2011. Stron 70; 20,5 x 14,3 cm; ISBN 978-83-62281-11-4. Opracowanie redakcyjne i wstęp: Rafał Orlewski. Tomik poezji (58 wierszy). Str. 5-6: Rafał Orlewski. *Poeta mądrości i wrażliwości*. [Wstęp]. Str. 67-68: Zdzisława Pieczyńska-Gąsior. *Piękno i autentyzm*. [Posłowie]. Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorze: RYSZARD KUBIAK (ur. 23 listopada 1931 r. w Konstantynowie k. Łodzi) jest doktorem nauk medycznych. Mieszka w Kolumnie – dziś dzielnicy Łasku. Poeta, działacz społeczno-kulturalny, autor publikacji medycznych oraz swojej twórczości literackiej w czasopiśmie i antologiach. Autor następujących zbiorów poezji: „Cisza nadziei” (Piotrków Trybunalski 1996), „Ucieczka w szarość” (Łódź 1997), „Znaki lęku” (Sieradz 1998), „W świetle zmierzchu” (Łask 2007), „Prośba o codzienność” (Piotrków Trybunalski 2011).

Słońce wschodzi jeszcze raz. Związek Literatów Polskich, Poznań 2011. XXXIV Międzynarodowy Listopad Poetycki 2-5 listopada 2011 r. Seria Wydawnicza LIBRA nr 38. Stron 130; 20,4 x 14,8 cm; ISBN 978-83-61412-49-6. Wybór i redakcja: Zdzisława Kaczmarek. Adnotacja: *Książka ukazała się dzięki dotacji Urzędu Miasta Poznania*. Str. 5: Paweł Kuszczynski. *Słowo wstępne*. Czytamy: *We współczesnej cywilizacji coraz bardziej zatracą się tożsamość człowieka, społeczeństwa, narodu. Kultura, szczególnie ta wysoka, jest najważniejszym – jeżeli nie jedynym – środkiem spowalniania tego procesu, a nawet jego eliminowania. Przekonują nas o tym dzieje Polski, zwłaszcza w okresach tracenia niepodległości. Jak napisał Norwid: „nie miecz, nie tarcza – bronią języka, lecz arcydziela”*. Almanach poetów – uczestników oraz zaproszonych gości XXXIV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w jubileuszowym roku 90-lecia obecności Związku Literatów Polskich w Poznaniu nosi znamienity tytuł „*Słońce wschodzi jeszcze raz*”, zaczerpnięty z wiersza „*Chagrin*” Czesława Miłosza. (...). Wiersze następujących autorów: Eugenijus Ališanka, Anna Andrych (Zduńska Wola), Bogumiła Antkowiak-Manc (Gniezno), Maksymilian Bartkożowski (Mogilno), Danuta Bartosz (Poznań), Andrzej Bartyński (Wrocław), Ryszard Biberstajn (Leszno), Kazimierz Burnat (Wrocław), Géza Cséby (Węgry), Ryszard Danecki (Poznań), Marzena Dąbrowa-Szatko (Kraków), Zygmunt Dekiert (Poznań), Andrzej Dębowski (Zelów), Jerzy Fryckowski (Dębica Kaszubska), Krzysztof Galas (Poznań), Krzysztof Gąsiorowski (Warszawa), Seifu Gebru (Etiopia – Polska), Robert Giannetti (USA), Andrzej Gnarowski (Warszawa), Helena Gordziej (Poznań), Zbigniew Gordziej (Śrem), Dominik Górny (Poznań), Andrzej Grabowski (Ciężkowice), Karl Grenzler (Niemcy), Krystyna Gryś (Leszno), Hatif Janabi (Irak – Polska), Teresa Januchta (Poznań), Stefan Jurkowski (Warszawa), Zdzisława Kaczmarek (Lwówek), Krystyna Konecka (Białystok), Lech Konopiński (Poznań), Věra Kopecká (Czechy), Paweł Kuszczynski (Poznań), Olga Lalić-Krowicka (Serbia – Polska), Lech Lament (Turek), Anna Landzwójczak (Turowo), Dariusz Tomasz Lebioda (Bydgoszcz), Adam Lewandowski (Śrem), Krzysztof Lisowski (Kraków), Stanisława Łowińska (Poznań), Stanisław Machowiak (Poznań), Miłosz Manasterski (Warszawa), Romuald Mieczkowski (Wilno – Warszawa), Brygida Mielcarek (Poznań), Aleksandra Mierzyńska (Poznań), Maria Mistrioti (Grecja), Elżbieta Musiał (Końskie), Jolanta Nowak-Węklarowa (Wągrowiec), Edmund Pietryk (Poznań), Maria Magdalena Poczaj (Poznań), Ryszard Podleński (Poznań; aforyzmy), Mirosława Prywer (Poznań), Lâm Quang Mỹ (Wietnam – Polska), Tomasz Wincenty Rzepa (Gniezno), Janusz Sauer (Poznań), Vlada Stamenković (Serbia – Polska), Tadeusz Stirmer (Poznań), Józef Jan Swędrowski (Gizałki), Nina Szymt (Śrem), Nguyen Chi Thuat (Wietnam – Polska), Barbara Tylman (Poznań), Jerzy Utkin (Piła), Marek Wawrzekiewicz (Warszawa), Magdalena Węgrzynowicz-Plichta (Kraków), (+) Anna Zabacka (Poznań), Anna Elżbieta Zalewska (Poznań), Juryj Zawgorodnij (Ukraina), Marek Zgaiński (Poznań), Urszula Zybur (Kalisz), KLUB MŁODEGO LITERATA (8 osób). Str. 111-126: Tomasz Dariusz Lebioda. *Bryłka bursztynu. Czesława Miłosza mit XX wieku*. [Szkic].

K. S.

A p o l o n i u s z C i o ł k i e w i c z

A T O P O L S K A W Ł A Ś N I E !

**Tutaj, nad Wisłą mieszkam od lat
i pragnę nadal pozostać w kraju.
Po co wyjeżdżać w daleki świat,
jeżeli tutaj mnie otaczają:**

**Holenderki na łąkach, kanadyjki na wodach,
zaś na stopach – japonki – (taka ciągle jest moda),
czasem szwedkę na grzbiecie i panamę na głowie
noszą ekstrawagancy, acz niemodni panowie.
Niezły meksyk mieć mogę, gdy się spotkam z łobuzem,
on potrafi po głowie mocno walnąć francuzem.
Gdy centralne mi siądzie, strata także niewielka,
problem zimna przeminie – grzeje z wódką angielska.
W kącie amerykanka, wkładam cztery sweterki,
leżąc wsuwam z kompotu bardzo słodkie węgierki.
Wierzę, że mnie hiszpanka nie dopadnie, bo przecież
inny dziś rodzaj grypy hula sobie po świecie.**

**Mam wyjechać? Tu okno na świat się nie zamyka,
więc z ogromnym spokojem zagram sobie w chińczyka,
a gdy głód znów dopadnie, szybko stanę na nogi,
by przyrządzić tataro albo ruskie pierogi...**

**Wiem, przed tymi słowami nikt z Was nie padnie plackiem,
bo to takie gadanie. Jakie? No, austriackie...**

A p o l o n i u s z C i o ł k i e w i c z
